

KRONIKA ZAGRANICZNA.

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Nowe badania nad celtyzmem w Austrii, pp. Starck, Goehlert, Obermüller.—Dzieło p. Obermüller p. t.: „Deutschkeltisches geschichtlich-geographisches Wörterbuch, zur Erklärung der Fluss-Berg-Orts-Gaw-Völker und Personen-namen, Europas, West-Asiens und Nord-Afrikas etc.” Ludy galskie na ziemiach dzisiejszego państwa Austriacko-Węgierskiego według badań Starcka.—Literatura madiarska: poeta Garay i jego poematy „Mojżesz węgierski i Arpad.—Podróże Nilsa, powieść Ksawerego Marmier, nowego członka akademii francuzkiej.—Szkic do powieści, znaleziony w papierach Napoleona III.—„Hrabia Horn”, nowy dramat Józefa Weilen.

W przeszłej korespondencji, pisaniej zaraz po przybyciu do Wiednia, rzuciliśmy kilka słów o galskich ludach, które w tych stronach przebywały. Nie wiedzieliśmy jednak wówczas, że pytanie, co do starożytnych tubylców galskich, w krajach terażniejszej Austrii, tak żywo zajmuje umysły uczonych Wiedeńczyków, jak to dziś spotrzegamy. Jeżeli sprawa Gallów, podniesiona gorąco we Francyi w ostatnich czasach, nie mogła być dla nas obojętną, tém więcej nabiera ona znaczenia, podjęta w ościenniej nam Austrii.

Na czele tutejszych celtystów, o ile nam wiadomo, stoją pp. Starck, Goehlert i Obermüller. Pan Starck drukuje spostrzeżenia swoje w buletynie tutejszej Akademii Nauk. Goehlerta rozprawę bardzo ważną czytaliśmy w buletynach Towarzystwa Jeograficznego Wiedeńskiego. P. Obermüller ułożył cały system celtyzmu, w słowniku który wydaje zeszytami. Dotąd wyszło jedenaście zeszytów tej pracowitej i nowej w swoim rodzaju publikacyi. Sam tytuł dzieła wskazuje ogrom przedsięwzięcia; przytaczamy go w całości. „Niemiecko-celtycki, historyczno-jeograficzny słownik, wyjaśniający nazwy rzek, gór, miejscowości, opolów, jak również imiona własne osób i nazwiska ludów Europy, Zachodniej Azji i Północnej Afryki, z szczególnym po-

ględem na kraje niemieckie, i z wykazaniem pierwotnej historii ludzkości, na zasadzie tych badań." Długi tytuł świadczy o niemieckim pedantyzmie uczonego celtysty, i o szerokim planie, jaki sobie zakresił.

Czy system pana Obermüllera odpowiada na wszystkie pytania, jakie poruszył, nie możemy o tém wyrokować. Wątpimy nawet, czy przyjdzie czas, aby starożytność celtycka mogła być ujętą w tak dokładny systemat naukowy, w jaki są już ujęte starożytności hebrajskie, greckie i rzymskie. Dziś jednak, kiedy rządy i towarzystwa naukowe, wydają krocie na drukowanie dzieł, o których wartości ledwie kilku uczonych europejskich wyrokować ma prawo, jak tego przykład widzieliśmy na dziele p. Bourbourg: *O starożytnych kronikach tubylców Ameryki* (1), dziś powtarzamy, byłoby niewłaściwie przesądzać prace uczonych, poświęcających życie całe na usystematyzowanie starożytności celtyckich, w Europie, w Azji i w Afryce.

Tém pilniej zwracamy uwagę na słownik pana Obermüllera, że autor w pracy swojej ogarnia Słowiańszczyznę, poświęcając jej obszerne i ciekawe ustępy.

Poznaliśmy osobiście pana Obermüller. Należy on do tych ludzi gorąco zamiłowanych w przedmiocie podjętych badań, do tych zawziętych karczowników, których ogół tak mało pojąć zdoła, których pracami świat nie wiele się zajmuje, a przecież oni to jedni oddają hołd owym pierwotnym tubylcom Europy, którzy w krwawym pocie czoła przygotowali grunt do przyszłej cywilizacji starożytnych Greków i Rzymian, jak i nowożytnych ludów europejskich.

Oo do prac pana Goehlerta, uderza nas w nich ostateczny rezultat. Podług tego uczonego, nazwiska miejscowości kończące się na *ina, ana, esa, isa, jub, ib, ing, barn* i *ron*, charakteryzują początek galski. Na tém prawie, nazwa księżniczki czeskiej *Liubisy* byłaby w harmonii z miejscowością *Luibisa*. Może to mieć związek z pobytom Gallów w Czechach.

Autor udowadnia osiedlenie się Gallów w Austrii na 1000 lat przed Chrystusem. Nie mamy nic przeciwko wnioskowi sięgającym tak głęboko w starożytność tutejszych mieszkańców, jak również nie zarzucamy wcale p. Obermüller, że sięga jeszcze dalej. Sądzymy jednak, że chcąc wnikać do takich głębin, potrzeba zstępować po szczeblach. Takim to szczeblem w poszukiwaniach celtyckich nad Dunajem, Wisłą, Dniestrem i Dnieprem, są czasy około V wieku przed erą naszą; kiedy ludy galskie, wyszły z gniazda swego na Zachodzie — z dzisiejszej Francji, a rzuciły się na Wschód, gdzie zamieszkały w większej lub mniejszej *massie*. Ta migracya Gallów, to ich osiedlenie się w tych stronach, jest dziś pewnikiem historycznym. Ale ten pewnik nie

(1) Bibl. Warsz. Styczeń 1870 r. Kronika Paryzka.

został dotąd szczegółowo rozebrany. Zatrzymać się nad nim, rozwinąć go, oto główne zagadnienie dla badaczy, mianowicie słowiańskich, którzyby chcieli wziąć celtycyzm za przedmiot naukowych poszukiwań. Przedmiot to bardzo ważny i ponętny samą nowością. U nas wreszcie pierwsze lody przełamane już pracami Bielowskiego; niech bowiem krytyka co chce mówi, owe to prace stanowią epokę w rozwoju historycznym dziejów naszych, przez wprowadzenie do nich żywiołu celtyckiego.

Z ludów galskich, które przebywały w długim pasmie wieków na przestrzeni dzisiejszej Austrii, najwięcej obchodzą nas Bojowie. Część ich sięgała od źródeł Dunaju, przez Bawaryę i Tyrol aż pod Wiedeń; druga część osiedliła się w Czechach, Morawii i na Szlązku; inna znów część zamieszkała we Włoszech. Bohemia czeska była dla wszystkich gałęzi Bojów jakby główną fortecą, do niej to chroniły się w czasie niedoli, dalsze odrosłe tego szczepu. Tu pokonał ich wódz markomanów Marobut na lat dwanaście przed Chrystusem. Szczątki owych Gallów przechowały się dotąd w ziemiach czeskich i morawskich, pod nazwą rodową *Welchów* i *Wołochów*. Po przybyciu w te strony Słowian z Nadwiśla w V i VI wieku ery naszej, ludy te poczęły używać słowiańskiej mowy; pierwszy Palacki zwrócił uwagę na Welchów czeskich w czasopiśmie czeskiego muzeum z r. 1833. Według Goehlerta, w stronie Czech, gdzie dziś przeważa żywioł niemiecki, więcej pozostało śladów, galskich, niż w innych częściach kraju. Rzecz to ciekawa z wielu względów i godna sprawdzenia.

Z innych gałęzi galskich, przypominamy Skordysków osiadłych między Sawą, Drawą a Dunajem, aż do ujścia Morawy. Część to owych Skordysków sprowadziła Delfy na 278 lat przed Chrystusem. U Serbów dotąd *Stari Wlachy* zowią się mieszkańcy z nad Zbaru i Dryny. Serbowie przyszedłszy tu z za Karpat w r. 638, zastali jeszcze Gallów. Nazwisko *Wlachy* oznacza i dziś w mowie ludu serbskiego, mieszkańców Bośni, Krocacji i Dalmacji, jak to widzimy w *Starożytnościach słowiańskich* Szafarzyka.

Ombrowie przebywali u źródeł Wisły. Musieli oni silnie uciemieścić tubyleców, kiedy od nich powstała nazwa Olbrzym, u Słowaków Ombryn. W języku celtyckim *Ambro* znaczy rycerz.

Z innych ludów galskich, Bastarny i Kotyni mieszkali nad Dniestrem i w Siedmiogrodzie. Kto wie, czy nazwisko *Chocim* nie pochodzi od galskich Kotynów; nie zapominajmy bowiem, że sławna *Olbia*, acz nierównie dalsza, na dwa wieki przed Chrystusem, zagrożoną była przez Gallów.

Co do Rakatrów, od których pochodzi nazwa Rakuszan, istnieje spór pomiędzy uczonymi: jedni mają ich również za Gallów, inni widzą w nich szczep germański.

Bytność ludów powyższych na ziemi słowiańskiej jest pewnością. Od wyjaśnienia ich dziejowego rozpocząć należy szczególnie u nas badania nad Celtami. Poznawszy dokładnie te lu-

dy w czasach bliższych, można dopiéro spuszczać się po szczeblach, w głąbiny coraz odleglejszej ich starożytności.

Poezya madiarska ściągnęła dziś na siebie uwagę Europy. Wielu znakomitych krytyków niemieckich i francuzkich poświęca jej obszerne sprawozdania. Wszyscy w ogólności zgadzają się na to, że jeśli poeci madiarscy nie przyszli jeszcze do tej wytwornej doskonałości w formie, jaka zaleca utwory pierwszorzędnych poetów europejskich, nagradzają ten brak żywotnym zapalem i dziwnie bogatą wyobraźnią. Każdy ich utwór, czy to epos, czy dramat, czy prosta pieśń liryczna, nosi na sobie wybitną cechę ich indywidualizmu. Nie mała to zaleta, ona przecież sprawia, że poezye madiarskie trudne bardzo do tłumaczenia, nie dają się o tyle spopularyzować, o ile na to zasługują.

W licznym gronie prawdziwie narodowych poetów madiarskich, jedno z najpierwszych miejsce zajmuje Garay Janosz, zmarły przed dziesięcioma laty. Przez długi czas, przyémiony blaskiem Petöfiego, zdobywał on z trudem uznanie ziomków. Szedł wolniej niż śmiały współzawodnik, ale każdy krok posuwał go naprzód, aż stanął na wyżynie, z kąd przyświeca dziś narodowi.

Świat nie znał tych zaciętych walk, które Garay staczał codziennie z życiem. Nie były to wcale owe romantyczne walki Petöfiego, to oplakującego przedwczesny skon Etelki, to znów jak nowy Tyrtusz z szablą i lirą prowadzącego lud do boju. Garay walczył z nędzą; w czola poeie zdobywał każdy kęs chleba dla rodziny; lecz kraj nie domyślał się nawet tych codziennych zapasów; odgadł je dopiéro, gdy szermierz padł zmordowany na wyłomie!

Jan Garay urodził się w Szekszard 1812 roku. Pierwsze nauki odbył w Pięciokościolach, wyższe w Uniwersytecie Peszteńskim. W dwudziestym pierwszym roku życia, rzucił się z zapalem na pole literatury. Było to w czasach budzącego się romantyzmu. Pracował w dziennikarstwie; obok tego zajmował się poezją. Pierwszym jego utworem był poemat bohaterki w dziewięciu pieśniach pod tytułem: *Czantar*. Wydał go w roku 1834. Żywy to obraz pierwotnych czasów Węgier. Młody poeta wlepił badawcze oko w przeszłość; z mroku wieków wydobył wielkie wspomnienia, które miały być wskazówką i zachętą dla przyszłości. W roku następnym utworzył dramat: *Słowo proroka*, odegrany w Budzie w roku 1838. Inne dramata jak *Arboez*, *Helena Orszagh*, *Ostatni Khan*, *Elżbieta Batorówna*, wysnute zarówno z rodzinnych podań, należą do pierwszego okresu jego prac poetycznych. Po roku 1838 rzucił chwilowo poezję, a począł wydawać w Prezburgu dziennik polityczny. Wkrótce potem wrócił do Pesztu, gdzie powołany został na członka Akademii Węgierskiej i Towarzystwa Kiszfaludich.

W pierwszych pracach Garaya znać już niepospolity talent i duszę gorącą. Słowo jego płynie jak żywy strumień, lecz więcej w nim potoczności niżli głębokiej siły; jeszcze Garay nie wy dobył z siebie tych palących zgłosek, które piętnują się na zawsze w pamięci ludu. Zbiór dopiero poezji lirycznych, wydany w roku 1843, stawia go w rzędzie mistrzów. Nie szukać tu ani uczonej formy Wörösmartego, zaprawionego na wzorach klasycznych, ani orlego polotu Petöfięgo. Myśl Garaya prosta, ale głęboka, wyobraźnia trzeźwa lecz pełna barwy. Garay najświetniej wystąpił w tak zwanęj *Balladzie historycznej*. Są to obrazki z przeszłości, przedstawione z niesłychanem życiem dramatycznym w formie pełnej oroku. W nich poeta odtworzył mnóstwo podań dziejowych, które niegdyś ożywiały massy ludu, nim czas przysypał je prochem niepamięci, i zagrzebał w starych kronikach. Z owych to kronik Garay dobył zakłętę skarby, przetopił je w gorącej pierś, nazaczył niejako własnym stępem, i oddał narodowi drogą a zapomnianą puściznę. Wkrótce maleńkie te arcydzieła rozbiegły się po kraju, chwywane z równym zapalem przez magnatów, jak przez pasterzy puszczy. Garay stał się poetą prawdziwie popularnym.

W małym poemacie p. t.: *Mojżesz węgierski*, odżywia on mityczną postać Almosza ojca Arpadowego. Z kronik średnowiecznych wy dobył wspomnienie tego wodza, który przyprowadził Madziarów do Europy. Trzej najdawniejsi kronikarze węgierscy: notaryusz króla Beli z XIgo wieku, biskup Chartuitius i Szymon Kéra z XIII, mówią długo o starym Almoszu. Opowiadają, jak bohater przybył z drużyną z Azyi nad Ciszę, aby odbić straconą dziedzinę Attyli. Garay odtwarza tych praojców, nie w historycznej zapewne ich postaci, ale w takiej, w jaką przybrała ich tradycya ludowa, zaprawiona duchem rycersko-chrześcijańskim. Wiemy ze znakomitego dzieła Amadeusza Thierry, w jaki sposób wyobraźnia ludów, według właściwego sobie geniuszu, przerabiała postać Attyli. W oczach potomności, król Hunów nie jest bynajmniej barbarzyńcą; to bohater, to posłannik Boży, to szermierz pchnięty wolą Opatrzności na karki grzesznych plemiob. Kiedy w tysiąc lat po nim, Maciej Korwin przedsiębrał krucyatę przeciwko Turkom, zwie się dumnie nowym Attylą! Garay trzyma się wiernie tej tradycyi. Ukazując Almosza jak prowadzi Madziarów z koczowisk skityjskich do stóp Karpat, ożywia w narodzie otuchę wspomnieniem wielkiego pradziada!.. Almosz jak nowy *Mojżesz* wiedzie lud swój do ziemi obiecanej, do ziemi zdobytej niegdyś mieczem Attyli!

Wielka postać Almosza, otwiera długi cykl ballad historycznych, które wydał Garay w r. 1847, p. t. *Arpady*. Zbiór ten znalazł niesłychane powodzenie. W tymże czasie legenda o Zofii Bośniaczce, zjednała autorowi pierwszą konkursową nagrodę w poezji. Wkrótce potem skreślił poetyczny obraz na tle kronik narodowych p. t.: *Zona Krzysztofa Frangepana*. Nakoniec poprobował

sił w poemacie na szerszą skalę: przedmiot do niego zaczerpnął w drogich narodowi wspomnieniach średnich wieków: ten poemat p. t.: *Ś-ty Władysław*, wyszedł poraz pierwszy w r. 1850.

Wypadki z czasów późniejszych, dostarczyły też pocie wtku do pięknych obrazków. Sławny kronikarz Turossy, współczesny Macieja Korwina, opowiada o wielkiem upodobaniu tego króla w pieśniach ówczesnych kobziarzy. Do najpiękniejszych liczy pieśń o *Stefanie Konth z Hederwar*, rycerzu z XV wieku, sławnym pogromcy Turków. Był on niemniej żarliwym stróżem praw narodowych. Skazany na śmierć przez Zygmunta cesarza niemieckiego, oddał głowę pod topór kata.

Garay odnowił bohaterską pamięć Kontha z Hederwar, pieśń jego przeszła w usta ludu. Z domowej kroniki Zrynych wysnuł też krótki, lecz dziwnie piękny poemat, p. t. *Zrynyi Illona*. Bohaterką rapsodu jest żona dwóch przesławnych zapaśników XVII wieku, najprzód Franciszka Rakoczego, zaślubiona później Pöhölemu.

Umarł Garay w roku 1843, mając zaledwie lat czterdzieści, w chwili gdy talent jego przyszedł do zupełnego rozkwitu, gdy najpiękniejsze na przyszłość zapowiadał owoce. Trudy nad siły zaprowadziły go do grobu. Zmuszony pracować w dziennikarstwie na chleb dla licznej rodziny, z drugiej strony rwany w sfery ideału, polotem prawdziwie poetycznego ducha, nie mógł stawić czoła tym dwom tak sprzecznym prądom. Krytyk madiarski Kerbeny, gorzko wyrzuca magnatom, że dali zgasnąć tej gwiazdzie pierwszorzędną na widnokręgu kraju swego. Zarzut to niesłuszny.—W ojczyźnie Kiszfaludich, Telekiah, Szechenyeh, trudno obwiniać szlachtę o obojętność dla narodowej poezji. Garay tał się z nędzą, żył w ukryciu, konał bez skargi. Śmierć dopiero zdarła tajemnicę tak pilnie ukrywaną. Wieść o nieszczęściu przeniknęła do głębi serca Madiarów. Zbiérano podpisy w całym kraju, urządzono koncerty i widowiska teatralne. Kraj zabezpieczył utrzymanie rodziny; tym sposobem oczyścił się z zarzutu niewdzięczności względem poety narodowego.

Poważni krytycy, tak madiarscy jak niemieccy i francuzcy, wysoko stawiają poezye Garay'a. Tworzy on z Wörösmartym, Petöfim i Aranym, świetną plejadę nowoczesnych poetów madiarskich. Według ogólnego zdania, jeżeli Wörösmarty panuje w tej plejadzie formą, doprowadzoną do wysokiej doskonałości; jeżeli Petöfi przyświeca w niej niezrównaną siłą młodzieńczego zapału: zato Garay przechodzi ich potęgą myśli i samodzielnością twórczą.

Z Cyklu arpadów dajemy w przekładzie dwa małe poematiki: o Almoszu, którego poeta przeważał *Mojżeszem Madiarów*, i o synu Almoszowym *Arpadzie*, któremu dano było jak Jozuemu wprowadzić lud swój do ziemi obiecanej. Idąc za tradycją upowszechnioną u kronikarzy średniowiecznych, o pokrewieństwie Arpadów z Attylą, poeta wziął sobie za cel, udowodnić prawa Ma-

diarów do ich ziemi, na odwiecznych podbojach Hunów. Attyla zdobył te ziemie na Germanach, na dwieście lat wprzód, niż Słowianie przybywszy tu z nad Wisły założyli państwo Morawskie nad Dunajem. Tak poeta madiarski legitymuje zabory Almosza i Arpada, zowiąc je raczej odbiciem własności niż podbojem.

Co do nas, nie wdajemy się wcale w historyczno-stenograficzne wywoły, któreby nas zbyt daleko zaprowadziły. Nie zaprzeczamy bynajmniej Madiarom prawa obywatelstwa w Europie; wkupili się w nie krwią i ofiarą, wstrzymując szansem piersi własnych powódź Muzułmanów, grożącą zalewem świata chrześcijańskiemu. Przy tak rzeczywistych zasługach, położonych dla cywilizacyi, zasługach, które wycisnęły piętno europejskie na obliczu węgierskiego narodu, czemuż są prawa oparte na zdobyczach Attyli? Poetyczną fikcyą... niczém więcej!

Przytaczamy tu dwa obrazki Garay'a, które wysoko oceniamy pod względem artystycznym. Żałujemy tylko, że ta barwa, ta woń czysto narodowa, stanowiąca główną ich zaletę, musi w wielkiej części zatrzeć się w tłumaczeniu.

Mojżesz Madiarów.

Na błoniach stopą Skity wydeptanych w okół,
Zuchwały jak pantera, a wolny jak sokół,
Lud zrodzon w brzasku wieków z krwi magoga starój,
Nad Donem niezmierzone zalegał obszary.

O karki tego ludu wróg szcerbił oręż,
Silni zgodą, w olbrzymów wyrosli tu męże;
Śmierć walecznych nie strwoży, przemoc ich nie złamie,
Aż w domowych zapasach zwątlało im ramie.

I ziemia, co karmiła ich od lat tysiąca.
Z gniewem niesforne syny od piersi odtrąca;
Upada pod boleści i sromu ciężarem,
Gdy widzi ład skłócony w oném gnieździe starém.

I wstrząsł się wielki obóz od zgiełku i wrzawy,
Bratobójczych zapasów powiał sztandar krwawy,
I funa krwawym rąbkiem pokrywa pół nieba,
A lud krzyczy jak wściekły: „oręża i chleba!”

Cóż to! czy grom uderzył? czy w śmiałym rozpedzie
Don gnany skrzydłem burzy, bije w skał krawędzie?
To głos wodza tak zagrzmiał... on gwałty powstrzyma,
Lud umilkł, słucha głosu—wzrok utkwiał w olbrzyma.

To Almosz, syn Turula (1), mąż niezłomnej duszy,
Cudnież mu włos gołębi nad czołem się puszy;

(1) Turul czyli Gryf. Podanie nadaje Gryfa za ojca Almoszowi.

Żrenica jak noc czarna; lecz popatrz w nią z bliska,
Jaki płomień słoneczny z jej głębi połyska!

„Słuchajcież mnie, zawoła, wy chobrze Madiary:
Wamże ramie z bezwładniac bratniemi poswary?
Z brakłoż to ziemi żyznej na szerokim świecie,
Co Madiara do łona przytuli jak dziecię?”

„Tam za góry, za rzeki nam pomknąć już pora,
Tam pełne zwierza knieje, pełne ryb jeziora:
Sławny pradziad nasz Eitel, przed wieki dawnemi
Krwiaj ojców drogo kupił każdą piędź tej ziemi.

„Do lotu bracia orły, za góry, za wody,
Tam siać nam czyste ziarno miłości i zgody;
W księżde wieków nam skręślić zgłoski ostrzem mieczy,
Niezlomna moc ramienia prawa zabezpieczy!”

Rzekł, i tysiąc płomieni błysnęło ku górze,
Tysiąc szabel w słonecznym kąpie się lazurze;
Z tysiąców piersi grzmiące rozległy się głosy:
„Prowadź nas... pójdziem z tobą wodzu siwowłoty!”

I oto siedem rodów bratnich z krwi i z ducha,
Zaczem pomkną na Zachód istna zawierucha;
Patrzą w step, znać dostrzegli wśród mnogich rozdroży,
Szlak czarny, co go zdeptał przed wieki *Bicz Boży!*

Almosz wzywa Tuchtuna, Eloda i Tazsa,
Unda, Huba i Knuda: „Wodzowie, krew nasza
Niech uświęci serc węzel!” Chwycają miecz z ochotą,
I siedm krwi strumieni zciekło w czasie złotą.

Z rąk siedmiu krew wytryska! już dobiegła miary,
Kolejno wodze usta przyłożą do czary;
Uroczystym przysięgi związali się słowem,
Wybiierać zwierzchnich władzców w guieździe arpadowem.

Z łupów w boju zdobytych, w moc bratniej uchwały,
Wszystkim wodzom jednaki niech przypadną działy;
Im to sądzić przestępcę, im stać na praw straży,
Ten zgubion, kto na prawo targnąć się poważy.

Ruszają chmury ludu przez jary i wzgórze,
Mkną chyżo jak po niebie mknie gradowa burza;
Spieszają męże i starce, drobniej dziatwy roje,
Krasnolice niewiasty, jak kwiaty dziewoje.

Po przedzie, niby promień gdy z chmur się wysunie,
 Jedzie wódz srebrnowłosy na śnieżnym biegunie;
 Co krok zdobywa kraje, zbiera łup sowity,
 W tryumie książę Skitów wie dzie dumne Skity.

Pędzi po karkach ludów; przez siół zgorzeliska
 Przebrnął bagua Mohaazu, pot z czoła mu tryska;
 Gdzie przemknie, wieher przed nim niesie okrzyk grozy:
 Już na Karpat wierzchołku rozbija obozy.

Tu powstrzymał krok starzec, tu serce w nim rośnie,
 Ztąd wzrokiem po obszarach zatoczy radośnie;
 Kraj on młkiem i miodem znać bogato płynie,
 Niby ogród kwiecisty w rozkosznej dolinie.

Wtedy w duchu Almosza wielka myśl powstała,
 Wzniósł w górę obie ręce, wzrok ogniem mu pała:
 „Oto wasza ojczyzna! Bóg ją dał!—wyrzeczcie:
 Niech kresy jej na wieki zakreślą te miecze.

„Ufność w Bogu i w mieczu! Bóg i miecz nie myli,
 Waszą będzie ta ziemia praojca Attyli,
 Wam dziś serce i ramie uzbroić w moc nową;
 Jam strudzon, mnie czas spocząć pod darną grobową.

„Ty spełnisz wielkie dzieło z woli nieśmiertelnej!
 O mój synu bądź mocny, bądź wielki, bądź dzielny!
 Lud to wosk w dłoni książąt—klątwa tych dosięże,
 Co z tego wosku lepią jasełka, nie męże!”

Umilkł, a lud tumanem na dolinę spada,
 Grzmiały rogi, krwawo błyska proporzec Arpada;
 Kraj wzdłuż i wszęsz końskiem stratowan kopyty,
 Zgiełk, tentent, stare Karpat wstrzęsły się grauity.

A tam olbrzym-bohater stoi na gór szczycie,
 Podniósł ręce ku niebu, wzrok utkwil w błękitcie;
 Nad promienistém czołem zadrzał puch gołębi,
 Znać brzask ojezystej chwały, błysł mu w ducha głębi.

Arpad.

Czyjeż one po nad Cissą
 Te żyzne obszary?

Tu panuje dzielny Zalan
 Z bitnemi Bulgary.

Wiatr mu latem na dolinie
 W złote kłosy dzwoni,

Ma na łąkach trzody bydła
 I tabuny koni.

Ale chyzj niż chmur tuman
 Widnokrag zaściele,
 Drze się Arpad z półki swemi
 Przez Ungu gardziele;
 Szczękły miecze—walczą wrogi,
 Trup w pokosy pada,
 Bój się skończył—dzwonią rogi
 Na tryumf Arpada!

Któż to w Bihar pod złocistym
 Pyszni się namiotem?
 Pije kumys z drogiej czaszy
 Cały odzian złotem?
 Sto hurysiek ma przy boku,
 Tysiąc koni w stadzie,
 To Man-Maroth Khan Chazarski
 Zasiadł przy biesiadzie!

Ale chyzj niż prąd rzeki
 Pędzi z gór przez skały,
 Na Chazara z półki swemi
 Pomknie Arpad śmiały,
 Szczękną miecze, walczą wrogi
 Trup w pokosy pada,
 Bój się skończył—dzwonią rogi
 Na tryumf Arpada!

Cóż za lasy tak się czernią
 Tam na tle błękitu?
 W wnętrzu ziemi dość tam złota
 I soli do sytu;
 Tam wołoskich siedem grodów
 Czołem w chmury strzela,
 A w parowach żyją wnuki
 Rozbitków Etela.

Ale chyzj niżli z nieba
 Grom ziemi dosięże,
 Wypuścili w cwał bieguny
 Arpadowi męże.
 Szczękły miecze—walczą wrogi,
 Trup w pokosy pada,
 Bój się skończył—dzwonią rogi
 Na tryumf Arpada.

I ty królu Światopełku
 Ustąp z twemi Tody (1),

(1) Do tego to głównie ustępu stosują się uwagi nasze, któremi poprzedziliśmy dwa poemaciki Garay'a. Todami jak wiadomo zowią Madziary Słowian, którzy zajęli w VI wieku ziemię na Południe Karpat; nazwa

Nie wstrzymają nas twe wojska
 Ni warowne grody.
 Bóg przemawia naszym głosem,
 On nam ostrzy miecze,
 To *Bicz Boży* karki ludów,
 Przez Madiary sieczel!

Ziemiaż padnie mężnych łupem?
 Oh! sił im wystarczy!
 Wtém uderzy trzykroć Arpad
 Po szerokiej tarczy.
 Trzykroć zabrzmie groźne hasło,
 Czy się wstrzęsły góry,
 Czy tak morze zaryczało,
 Czy grom wypadł z chmury?

Na znak pierwszy bitne druchy
 Powstrzymały boje,
 Na znak drugi do Arpada
 Lecą jak pszczoł roje;
 Na znak trzeci głucha cisza
 Na obszary pada,
 Po nad głowy dzielnych drużyn
 Rozgrzmiał głos Arpada.

„Gdzież to? gdzież to? Ha! Witezie,
 Czyż wam niedość na tém?
 I księżęce błysły lica
 Chwały majestatem.
 Własność ojców już odbita,
 Na cóż nam łup nowy?
 Czas na wieki usłać gniazdo
 W ziemi Etelowej.

„Strzeżmy pilnie jak źrenicy
 Tój puścizny męże,
 Niechże jedność, niechże zgoda
 Nasze serca sprzędzie!
 Doś zaprawdę krwi pociekło,
 Oh! nasz trud nie marny,
 Czas nam zasłać na podziękę
 Panu hołd ofiarny!”

ta szczególniej tyczy się Słowaków. Nie mogliśmy wyrzucić tego ustępu, żeby nie psuć całości artystycznej, zresztą maluje on to smutne usposobienie umysłów, które wywołało wojnę roku 1848.

I dym buchnął pod niebiosa,
 Rozgorzało błonie,
 Poświęcili na cześć Bogu
 Dwa śnieżyste konie.
 Wiatr północny z taką siłą
 Powietrze roztrąca?
 To dziękczynna pieśń Madiarów
 Grzmi z piersi tysiąca!

Do ołtarza siedmiu wodzów
 Przystąpi w milczeniu,
 Droгоценne kładą łupy
 Na świętym kamieniu,
 Pasterz jagniąt białych parę,
 Przynosi na gody,
 Rolnik kłosa, góral słodkie
 Tokaju jagody.

Idą dziewy krasnolice,
 Wzrok ich ogniem błyska,
 Z pochyloną kornie głową
 Klękły u ogniska.
 I pomknęła pieśń dziewicza
 Na stepy, na wody:
 „Złącz o Boże serca ludu
 Świętym węzłem zgody!”

Donosząc kilka miesięcy temu, o przyjęciu do akademii francuzkiej Ksawerego Marmier, zapowiedzieliśmy sprawozdanie z jego ostatniej publikacji p. t. *Podróże Nilsa*. Jest to niewątpliwie najznakomitsza z licznych prac autora. Talent jego pokazuje się tu w całej sile, tak w badaniach psychologicznych, jak w wydziale etnografii i historii. Podnosi wartość dzieła i to, że ogarnia większą część narodów europejskich.

Autor wyprowadza na scenę fikcyjną postać młodego Nilsa, ucznia Upsalskiego uniwersytetu, który pragnie widzieć na ziemi urzeczywistniony ideał ludzkości i szuka go pomiędzy różnemi narodami. Zna doskonale Marmier usposobienia Skandynawów, długo bowiem przebywał między nimi i nieraz po mistrzowski malował ich postacie. I w Nilsie przedstawia nam nieodrodnego syna Dalekarlii; a przecież w poglądzie na świat i ludzi, mianowicie w ocenieniu filozofii niemieckiej, Marmier zapomina o fikcyjnej osobistości Szweda, w którą się przyoblekł, a sądzi rzeczy przez pryzmat geniuszu czysto francuzkiego. Nie ujmuje to przecież wartości dzieła: jest to obraz etnograficzno-psychiczny i moralny rozmaitych krajów Europy, skreślony w obrazach świeżych, pełnych wdzięku, z jakimi dziś nie często spotkać się można.

Nils ukończył nauki w Upsalu. Powraca do rodzinnego gniazda, w góry Dalekarlii. Ów zakątek w górach nad jeziorem to prawdziwy raj ziemski. Młodzian znajduje tu wszelkie warunki rzeczywistego szczęścia: i czcigodnych rodziców, i ukochaną siostrę Stinę, i jasnowłosą Ebbę śliczne dziecię Dalekarlii, przedmiot młodzieńczych jego marzeń. A przecież myśl Skandynawa wyrwa się za te góry zarosłe jedliną, które czarnym pasem pokryły mu widnokrąg. Napróżno siostra, starsza o lat kilka, przedstawia z całą wymową kochającego serca, że świat cały nie da mu tego, co zostawia pod strzechą domową, napróżno powtarza rozmaitemi słowy stare przysłowie nasze: *wszędzie dobrze, a w domu najlepiej*. Nils jednak tęskni za ideałem, którego urczywistnienie musi znaleźć na świecie. Brzmią mu jeszcze w uchu słowa profesorów: jeden z nich kręślił tak piękny obraz Niemiec; drugi tak podnosił przemysłowy postęp Anglii; trzeci tak uroczo malował Francję! Opór siostry tém silniej podnieca młodzieńczy zapał brata. Nils puszcza się w drogę. Ojciec stary kapitan wojsk szwedzkich, dziś dyrektor kuźnicy, wyprawia go sam w podróż. Niechże syn własnym doświadczeniem sprawdzi teorye upsalskich profesorów.

Następuje chwila pożegnania nad jeziorem. Matka błogosławi jedynaka ze łzami, ojciec tłumি wzruszenie. Mała Ebba przybiega z wiązanką kwiatów. Siostra Stina prosi o długie szczegółowe listy. Owe to listy, stanowią główną ósnowę dzieła.

Nasz młodzian zatrzymuje się w Stokholmie: z wyżyn Morsbachu patrzy na gród skandynawski, rozsiadły nad jeziorem, w posród drzew i zieleni, najeżony w gotyckie wieże, oblany dalej białemi wodami Bałtyku. Serce młodziana uderza dumą narodową, na widok starożytnej stolicy, jednej z najwspanialszych w świecie; myśl jego przecież wyrwa się na skrzydłach w świat obcy i nieznan.

„Ztąd—pisze—jadę do Niemiec, do kraju pieśni, gdzie wszystko technie żywą poezją. Tam mury starych zameczysk powtarzają jeszcze urocze zwrotki Minnesyngerów; do ich gzymsów przyrosły ze nichem tradycye wieków rycerskich. Tam pod cieniem zagrody wyrastają idylle, niby modre niezabudki po łąkach; u każdego ogniska krążą ludowe klechdy, schwycone żywo piórem braci Grimm; w każdym lesie odzywa się podzwiek tajemniczego rogu; przy każdej studni gwarzą Hermany i Doroteje.

Tak marzył nasz młodzian, płynąc Bałtykiem do pomorskiego Szczecina. I jakże rzeczywistość nie odpowiedziała ideałowi wypieszczonemu w duszy poetycznej! Zobaczmy, co pisze z Berlina.

„Otóż jestem w Niemczech, a do tego w jednej z pierwszych stolic niemieckich. Kraj, który przebywałem, wcale mi nie zachwycił: wsie i zagrody jakoś nie idylliczne; owe Gretchen i Doroty pochylone z motyką nad zagonem kartofli, równie dalekie od ideałów Goethego, jak panorama Berlina od cudnej panoramy Sztokholmu!

„Tu nie dopatrzysz ani morza, ani jeziora, ani zielonych pagórków; wkoło piaski i wydmy porośnięte tu i owdzie karłowatą sosniną lub jałowcem. W pośród tych stepów piaszczystych, toczy się leniwie ponura i mętna Sprea. Z obu stron rzeki na szerokiej przestrzeni, widzisz spiętrzone gmachy, poważne, zimne, jednostajne. To Berlin!

„Owe ulice wyciągnięte prosto jak pod sznur, dają mi obraz sławnych grenadyerów gwardyi Fryderyka Wilhelma Igo uszykowanych do przeglądu. Te gmachy zbudowane na rozkaz, strojne w kolumnady greckie, albo we włoskie frontony, dziwnie się przedstawiają na bladym tle północnego nieba. Tu teatr pomiędzy dwoma kościołami; tam muzeum obok arsenału; tu przy milczącej bibliotece, spizowe posągi generałów: wszystko pomieszczone dowolnie, bez myśli, bez związku, bez harmonii!

Otóż i ulica *Pod Lipami!* jak uroczą sama jej nazwa. Ale patrz!.. w jednym jej końcu zobaczysz brandeburską bramę, a na niej tryumfalny wóz, uprzączony w cztery bieguny; w drugim końcu kordegardę, z kąd odgłos wojskowej pobudki rozlega się na miasto. Gdzie rzucisz okiem, roje oficerów i żołnierzy. Słowem Berlin przedstawia się w oczach moich jak rozległe obozowisko, zdobne o ile można, by uprzyjemnić pobyt w oczekiwaniu na nową, piękniejszą stolicę.

Prusacy mają Berlin za prawdziwy cud świata.

„Jak pysznie zbudowane miasto naszel! — powtarzają z przechwałką — jak wytworne, jak majestatyczne! Świat słusznie zazdrości nam pomników i zbiorów naukowych! Nasza biblioteka posiada prawdziwe skarby; nasze muzeum przystrojone w freski Kaulbacha, pełne wiekopomnych arcydzieł. Płody przemysłu naszego rozchodzą się na wszystkie krańce ziemi; z naszych książek bije słoneczny blask po świecie! Sami Anglicy zazdroszą nam wielu gałęzi handlu; pyszni nawet Francuzi badają pilnie organizację niezrównanych szkół naszych!”

Z równem zrozumieniem Prusacy głoszą pochwały swego kraju, najpotężniejszego, najwaleczniejszego, najszcześliwszego, jak mówią ze wszystkich krajów ziemi. Według nich, inne państwa Europy zestarzałe, spróchniałe, chyliły się do upadku. Wśród tych narodów przekwitłych i strupieszalnych, Prusy wyrastają jak młody dąb, pełen siły żywotnej. Chwila jeszcze, a ów dąb rozciągnie nad światem swe szerokie konary. Prusy, to głowa Niemiec! wywalczyły pierwszeństwo siłą młodzieńczego zapału, potęgą idei, mądrością administracyi, a do tego nieporównaną armią, która obok tradycyi Fryderyka Wielkiego, posiada najdoskonalsze środki niszczenia, owoc nowoczesnej nauki!

„Tak Prusacy — pisze Nils — patrzą na przyszłość swego kraju. Wojsko pruskie nie zadowolone tryumfem Waterlo, pragnie raz jeszcze obmyć we krwi pamiętną klęskę Jeny!

„Może być — dodaje — że z uprzedzeniem spoglądam na Berlin, ale wstrętny mi tu szczególnie widok tych oficerów w kas-

kaoh, brząkających pałaszami po bruku, z postawą tak zuchwale wyzywającą. Ilekroć przechodzę koło którego z nich, obawiam się by nie szukał zaczepki.”

Otóż nastąpiło to, co przewidywał spokojny uczeń upsalskiego uniwersytetu. Jednego poranku *Pod Lipami* nastąpił przypadkiem na ostrogę idącego przed nim oficera; Prusak odwrócił głowę, zmierzył Szweda wzrokiem płomienistym, i rzucił mu w oczy dwa słowa, straszne dla każdego studenta: *Dummer Junge!*

Krew skandynawska zawrzała w młódem serou. Nastąpił pojedynek. Uczeń upsalski znał prawa fechtunku, trudnoż jednak mierzyć się z pruskim oficerem! Draśnięty w bok zmuszony był przeleżeć w łózku dwa tygodnie!

Przed ową przygodą, Nils dzięki listom rekomendacyjnym swych professorów, porobił w świecie naukowym niejakię znajomości. To też gdy wieść o pojedyнку rozbiegła się po mieście, uczeni którym był zalecony, poczęli go odwiedzać. Zobaczmy, jak intelligencya berlińska przedstawiła się oozom młodego Szweda.

„Uczeni tutejsi—pisze do siostry—nadzwyczaj sztywni i nastrojeni; grzeczność ich dziwnie pretensjonalna, każde ich słowo wyrzeczone jakby z katedry.

„Odbieram często odwiedziny dwóch ludzi wysoko tu cenionych: poety i filozofa.

„Poeta zaczął układać długi szereg dramatów, przedstawiających w chronologicznym porządku historię świata, od najgłębszej starożytności aż do czasów dzisiejszych. Doprowadził rzecz do Faraonów. W kilku wielkich tragediach, postanawia skreślić główne fazy dziejów starożytnych Greków i Rzymian; jak niemniej historię Europy w średnich wiekach. Doszedłszy do nowoczesnej epoki, rozszerzy swój plan; pomnoży ilość sztuk i liczbę działających w nich osób. W tym wielkim Panteonie pamiątek, Prusy zajmą godne siebie stanowisko. Z pomroku wieków ma wyprowadzić na widownię bohaterskie postacie, którym zawdzięczają zorzę chwały swojej, zacząwszy od Alberta Niedźwiedzia założyciela Brandeburgii, walecznego pogromcy Wendów, do księcia Ludwika poległego w walce z Francuzami.

„Zapytałem tego historyka dramatycznego, co myśli o Goethem i Schyllerze?

„Ci pisarze—odparł—nie byli bez talentu; zřęcznie nawet oddali niektóre postacie, ale wyobraźnia ich krążyła w zanadto ciasnym kole. Nie zrozumieli idei humanitarnej, której ja będę apostołem!

„Po takim zapowiedzeniu—dodaje Nils—nie wspomniałem już Kornela Rasyna, ani Szekspira. Bałem się, aby prorok idei humanitarnej nie znieważył ulubionych mi poetów.

Posłuchajmy teraz co mówi berliński filozof:

„Ze wszystkich nauk najwyższą jest filozofia; a ze wszystkich szkół filozoficznych, najwyższą stoi szkoła niemiecka, przedstawiona przez pięciu ludzi, którzy należą ściśle do Prus, jeśli nie rodem, to przynajmniej pracami. Leybnitz był prezydentem akademii nauk w tym królestwie; Kant professorem w Królewcu; Fichte, Szelling, Hegel zajmowali katedry w Berlinie.”

„Razu jednego—mówi Nils—ośmieliłem się wyznać, że filozofia niemiecka cokolwiek jest za ciemna.

— Ciemna—zawołał oburzony professor—pan żartujesz zapewne.

— Bynajmniej! wasz sławny poeta Heyne powiedział:

„Kiedy książka filozoficzna wyjdzie w Niemczech, czekam aby ją przetłumaczono po francuzku.”

— Heyne był bezczelnym szydercą! Dziwię się, że pan bierzesz go na świadectwo. Nasze książki ciemne! szczególny zarzut!.. ależ mój panie, one jasne do zbytku!.. to jedyna ich wada! Pierwszy lepszy zastanowiwszy się trochę, zrozumie *Teodyceę* Lejbnitza; *Krytykę czystego rozumu* Kanta; *Ja* Fichtego; *Identyczność* Schellinga; *Idealizm obiektywny* Hegla.

„Filozofia przecież to nie prosta zabawka dla dziewcząt. Zniżyć ją do pojęcia tłumów, byłoby największym jej ubliżeniem. Francuzi, którzy nie umieją nic uszanować, dopuszczają się takiej zniewagi. My czuwamy tu nad arką świętą. Co do mnie, chciałbym, żeby filozofowie jak starożytni magi, znaleźli osobny język do formułowania swych axyomatów. Może kiedyś przyjdzie do tego. Założyliśmy właśnie towarzystwo, które ma na celu tworzyć nowe wyrazy osłaniające myśl, aby stała się niedostępną profanom.

„Zagłębiaamy się jak górnicy w tajemniczy świat systematów. Tworzymy coraz to nowe problemata w dziedzinie abstrakcyi, i od czasu do czasu odczytujemy rozprawy na ogólnych zebraniach. Niedawno i ja napisałem podobny traktat; oddałem go pod sąd specjalnego komitetu, a potem jednemu z najuczestniejszych prezydentów naszych, którego wszyscy uważamy za mistrza. Otóż mój panie, ani komitet, ani sam prezydent nie zrozumiał mojej rozprawy. Jakiż to dla mnie triumf.”

Łatwo pojąć, że militarno-filozoficzny Berlin nie odpowiedział ideałowi naszego marzyciela.

Lepiej przypaść mu do myśli Drezno, owa północna Florencya z pyszną galerią i bezcennymi zbiorami; ta kolebka sztuk pięknych, gdzie Weber tworzył Frejschitza, gdzie Rafael Mengs malował swe madonny; ta urocza dolina przecięta białą Elbą, opasana wieńcem wzgórz, pod których cieniem żyje lud poczciwy, światły, oszczędny i pracowity: istny ideał ludu!

„Zobaczymy—mówi Nils—co się stało z tym idealnym krajem? Panował tu słodki król, którego poddani zwali sprawiedliwym; któremu zbudowali pomnik. Ten król Fryderyk August

sprzymierzył się z Francją. Kiedy Europa podniosła na nią oręż, on jeden pozostał jej wiernym. Upadła Francya. Fryderyk August drogo przypłacił niezłomną swoją wiarę.

Nasz młodzian pośpiesza do Wiednia. Widok starożytnego grodu Habsburgów, silnie działa na młodą wyobraźnię. Przebiega z zajęciem te uliczki wązkie, wijące się wężykowato w różnych kierunkach, to pnące się pod górę, to spuszczone na dół, przyćmione wysokimi domostwy, gdzie na każdym zakręcie oko spotyka miłą niespodziankę: tu odwieczny kościół lub pomnik, tam szeroką przestrzeń wysadzaną drzewami, miejsce dawnych fortyfikacyj. Różnoplemienna i różnobarwna ludność, zlewa się harmonijnie z malowniczym obrazem grodu. Nils patrzy ciekawie na przesuwanie się tłumy Czechów, Węgrów, Dalmatów, Tyrolów, Włochów, Rumunów, Greków i Ormian. Prawdziwa wieża Babel! Jakież tu pole do etnograficznych badań, do psychicznych spostrzeżeń!

Właściwa ludność wiedeńska pracowita, wesola, swobodna, przedstawia się z idealnej strony w oczach młodego Szweda. Przy ognisku domowem mieszczan, spotyka patryarchalną gościnność i prostotę. Tu stare podania jeszcze nie poszły w zapomnienie, tu w ustach dziewcząt krążą romantyczne powieści o pięknych księżniczkach i walecznych rycerzach, powieści przyrosłe do murów starych zamczysk, których szereg ciągnie się nad Dunajem. Patrząc na domowe cnoty tego ludu, Nils przebacza mu tradycyjną zastołość, lenistwo ducha i zbytnie zamiłowanie w dobrobycie; nie zważa nawet, że kucharka wiedeńska więcej tu nierównie liczy wydań, niż arcydzieła Schillera i Goetego.

Ale i do tego naddunajskiego Edenu wślizgnął się wąż w postaci Włocha. Było to w czasach, gdy Austria posiadała jeszcze Medyolan. Nils poznał młodego Paolo, postać dwuznaczną i podejrzaną. Zdudzony wpływem Włocha pożyczyl mu sto reńskich. Nie będziemy tu powtarzać, jaką siecią intryg chytry Paolo osnuł łatwowiernego syna Dalekarlii, jak wprowadził go pomiędzy Karbonarów, jak zaskarżył przed policją, słowem, jak zręcznie pozbył się wierzyciela.

Nils wydalony z Wiednia, pośpiesza do Bawaryi, zatrzymuje się w Nuremberdze. Posłuchajmy, co mówi o starożytnym grodzie niemieckim.

„Cudowne! jedyne w świecie miasto! widzę żywy typ sztuki średniowiecznej, w frontonie przybytku Panny Maryi, pod sklepieniem świętego Sebald, w przepysznym grobowcu tegoż świętego, wykowanym ręką Fiszera, w tych oknach różnobarwnych, do których Albert Dürer malował cudne wzory.”

Nie wiemy, dlaczego Nils zowie Fiszerelem naszego Wita Stwosza. Wiadomo przecież, że krakowski mistrz był twórcą grobu świętego Sebald i wszystkich arcydzieł przechowanych ze czcią, w tym kościele. Niemcy jak widać, przerobili go na Fiszera

i jako swojego zamieścili w panteonie narodowej sławy, na tém samym prawie, na którym przywłaszczyli sobie polskiego Kopernika, szwedzkiego Linneusza i duńskiego Torwaldsena! O tych dwóch ostatnich wpadły nam niedawno w oczy, gorące protestacye Skandynawów.

„Ulice Nuremberga—mówi Nils—wazkie, kręte, zachowały pierwotny charakter. Te domy strojne w kamienne koronki, najeżone tysiącem wieżyczek, jakże malowniczy tworzą obraz! Nad każdą bramą wyryty napis: tu pobożna sentencya, tam data lub imię przekazane pamięci potomnych.

Jeden z tych napisów oznacza dom Alberta Dürera, drugi Hanza Sachsa, sławnego szewca-poety, mistrza minnesyngerów, który nie wypuszczając z rąk kopyta ani dratwy, utworzył sześć tysięcy pieśni lirycznych, i trzysta komedyj granych w Nuremberdze, przy poklasku całego miasta.

Wiele z tych domów historycznych zachowało po dziś dzień dawne swe przeznaczenie. Rytownik sprzedaje mapy jeograficzne w tym samym domu, gdzie w wieku XV rysował je sławny kosmograf Marcin Behem, który spotkał w Portugalii Krysztofa Kolumba, puszczając się na wybrzeża Afryki zachodniej, nie-
tknięte jeszcze ludzką stopą.

Zegarmistrz sprzedaje po dziś dzień zegarki w sklepie, gdzie kilka wieków temu wyrabiano i sprzedawano tak zwane jaja Nuremberskie.

Potomek Fischera (Wita Stwosza!!) odlęwa dotąd spiż, w tej samej giserni, gdzie sławny pradziad odlęwał posągi i arkady do grobu świętego Sebald!

A przecież tu i owdzie wznoszą się budowle, nowym nacechowane smakiem. Młodzi ludzie utrzymują, że te nierównie wygodniejsze i piękniejsze od dawnych. Starzy mieszczenie ciężko boją, patrząc na ten popęd młodego pokolenia. Drżą na myśl, że wkrótce może padną pod młodem te starożytne domy, z których oni tak byli dumni.

„Prawdaż to? zapytuje Nils — miałaby Nuremberg przestać być Nurembergiem? Wszystko na świecie czas niszczy lub przetwarza. Wschodnia powieść Ruckerta maż być symbolem prawdy?”

Powtarzamy z Nilsem tę powieść:

Wbrew niezblaganym prawom przyrody,
Chinar żył wiecznie krzepki i młody;
Czas go nie zużył, śmierć go nie zmiecie,
Niezmordowany chodzi po świecie.

Szedłem ja, mówi, wieczornym chłodem,
Szeroką drogą pod wielkim grodem;
Ku zachodowi słońce się kłoni,
Patrzę... rwie starzec owoc z jabłoni.

— Ojcie! zapytam, gołąbku biały,
Kto pobudował ten gród wspaniały?
— Hej! niepamiętne przetrwał on lata,
I przetrwa jeszcze do końca świata!

Zbiegło lat pięćset. O świcie rano
Szedłem tu znowu drogą mi znaną;
Widzę, na łące pasą się trzody,
Struże fujarkę pastuszek młody.
— Chłopcze, zagadnę, tu, na tej łące
Wszak się piętrzyło domów tysiące:
Kędyż się podział ów gród bogaty?
— Coby tu było, nie wiem, przed laty,
Zaśpiewa chłopiec; czas wszystko mieni:
Ja tu nie pomnę nic prócz zieleni!

Zbiegło lat pięćset. Czas bieży skoro,
Szedłem znów tędy: patrzę... jezioro!
Woda na słońcu uroczą świeci,
Rybak w głęb toni zarzuca sięci.
— Rybaku, pytam, ten obszar cały,
Dawnoż jeziora wody zalały?
A rybak na to potrząśnie głową:
— Ej! szkoda czasu na próżne słowo!
Odkąd świat światem, odkąd człek w pracy,
Łowim tu ryby biedni rybacy!

Zbiegło lat pięćset! Spieszę tym torem,
Patrzę... dolina zarosła borem,
Dre się gęstwina, gdzie wzrok poniesie,
Wtém głuchy łoskot posłyszę w lesie.
Schylon ku ziemi kmięcz widzę stary
Wali siekięra w dębu konary,
Drugi na ściętej spoczywa sośnie.
— Dawnoż, ojcowie, ten las tu rośnie?
I widzę uśmiech na ustach kmięci.
— Odkąd słoneczko na niebie świeci,
Jak ziemia ziemią, po wszystkie czasy,
Na tej dolinie bywały lasy.

Zbiegło lat pięćset! Idę w te strony,
Tu gdzie szumiały dęby i klony,
Pyszne się gmachy biela z daleka,
Pod miastem wielka przepływa rzeka,
A w mieście gwarno, szumno i ludno,
Przez wielkie tłumy przedrzeć się trudno.
Tuż się to pasły na łąkach trzody?
Tuż przepływały jeziora wody?

Tuż niedźwiędź leśne zalegał knieje?
 Daremnie pytam! ten się zaśmieje,
 Ów żart złośliwie rzuci mi w oczy.
 Ha! pomyślałem, tak świat się toczy!
 Kiedy lat pięćset znów się przewinie,
 Cóż tu zobaczą?.. proch i pustynie!

„Miałżeby taki los spotkać piękny Nuremberg, ów idealny typ średniowiecznego piękna? — pomyślał upsalski marzyciel. Ale nie szukać mi ideałów rzeźbionych ręką ludzką, pójdę tam, gdzie ręka Boża wycisnęła typ nieśmiertelny, na owych Alpach granitowych, z poza chmur połyskujących wiecznym śniegiem.”

I Nils pospieszył do Szwajcaryi. Zobaczymy jego pierwsze wrażenia:

„Znalazłem tu idyllę! — woła zachwycony; odkryłem blisko St. Gall na stoku góry zarosłym jedliną, domek wiejski z ogródkiem. W tym domku zająłem pokoik, przy poczciwej i pracowitej rodzinie. Ojciec pełni służbę w domu handlowym w St. Gall. Wychodzi z rana, wraca późno wieczorem. Matka, krzepka Szwajcarka, cały dzień na nogach, nie spocznie ani chwili. Ledwie że kur zapieje, pośpiesza do studni po wodę, rąbie drzewo, zapala ogień w kuchni, gotuje śniadanie i obiad, chodzi, sprząta, kręci się bez ustanku. Załatwiwszy się z domem, dalejże do ogródka: okopuje kartofle, obiera kapustę z suchych liści, podpięra groch tyczkami. Dwie córki haftują od rana do wieczora kołnierzyki dla kupców z St. Gall, którzy te hafty rozsyłają na wszystkie krańce świata.”

Wkrótce rozwiała się idylla, potrącona o ziemską rzeczywistość. Przy odjeździe Nils odebrał z rąk gospodarza ogromny rachunek, w którym obliczono ściśle nie tylko spożyty chleb i mleko, ale i powietrze i słońce i wodę i szum jodeł.

„O pan chcesz! — rzekł gospodarz, widząc zdziwienie w oku młodziana — kraik nasz mały i ubogi: podróżni to całe nasze zniwo. Czekamy na nich jak Holendrzy na śledzie, jak mieszkańcy Północy na słomki i przepiórki. Wielka też radość nasza, gdy z początkiem lata patrzymy na przyciągające chmury gości: to pieszo, to konno, to dyliżansem, to statkiem parowym, to koleją żelazną. Widzimy tu i wytworną arystokrację, i tłustych kapitalistów, i uczonych, i zakochane pary, i starych podagryków, i młodych awanturników: słowem próżniaczą gawiedź ze wszystkich krajów świata. Szwajcaryja nasza to istna wieża Babel. My nie pytamy nikogo o legitymację; co nam do tego, jaką drogą doszedł kto do złota, byle go nam zostawił choćby garstkę!

„Dogadzamy też jak możemy cudzoziemcom: uśmiechamy się słodko do nich; wodzimy ich po górach i parowach; nie żalujemy trudów — bo też to nasze zniwo!”

Rozczarowany uczeń upsalski przebiega piękną ojczyznę Tella; co chwila nowy zawód. Rażą go wysokie kominy machin

parowych wkoło jeziora zurychskiego; razi go w Interlaken roje wystrojonych a poziewających Angielek; razi go chciwość bankierów i przemysłowców bazylejskich; razi go bardziej jeszcze, o zgrozo! ruleta na dolinie Chamouny... w obec Mont-Blanc! Niegdyś lud genewski, patrząc na to okropne pasmo gór, nazwał je *przeklętymi*, bo wierzył w prostocie ducha, że szatan więzi w tych wiekuistych śniegach legiony dusz potępionych.

Szatan osiadł tu rzeczywiście... Któż go nie poznał w postaci krupiera, pochylonego nad ruletą!

Znalazł nareszcie młody Szwed idealny zakątek nad jeziorem czterech kantonów, u stóp Rutli zwieńczonej kapliczką Tella, gdzie blisko sześć wieków temu, w zimną noc listopadową, trzej dzielni Helweci z Schwitz, Uri i Unterwalden zaprzysięgli wyrwać kraj ze szponów Geslera.

Tu wszystko jeszcze technie dawną poezją. Dym parowych kominów nie brudzi jeszcze uroczej łąk zieleni; drobna dziatwa nie więdnieje przy warsztacie. Tu dziewczęta zachowały hoży rumieniec i dawny strój, w którym tak im do twarzy! Tu nie dojrzyć ani spanoszonych bogaczy, ni nędzarzy w łachmanach. Tu naczelnik rady złożywszy mandat, wraca do pługów jak dawny Cyneynatus; tu sędzia pokoju w braku spraw do sądenia, grabi siano i sadzi kartofle!

Niestety i w tём gnieździe starożytnych swobód helweckich, to właśnie co było podstawą dziejowego bytu Szwajcaryi, a źródłem natchnienia dla poetów całego świata ucylizowanego, to stało się właśnie powodem zatargów i klęsk domowych w ostatnich czasach. Wierni odwiecznym tradycjom religijnym, potomkowie Tella nie chcieli się nagiąć do idei, jaką nowi mędracy zalecali im w imię postępu.

Mieszkańcy Schwitz, Uri, Unterwalden przetrwali wieki w wierze ojców. To słabość! wołali chórem sąsiedzi. Nie sprzedali jak tamci, starożytnych okien, obrazów i naczyń kościelnych na budowę targowisk i jatek. — To szaleństwo! — To prawdziwa ślepotą! niedorzeczność!

I oto propagatorowie idei postępowej, z słowem wolności na ustach, zaufani w liczebną siłę, chwytają miecz, uderzają na braci, wołając: „Przynosimy nasz postęp, naszą wolność; pochylcie wam głowy lub zginąć!”

I krew zbroczyła piękną dolinę udeptaną stopami Tella! i zmała piękną ideal marzyciela z Upsalu.

Nils pospiesza do Holandyi. Tu patrzy zdumionem okiem na owoce mozolnej a wytrwałej pracy człowieka; bo też nigdzie człowiek nie okazał tak zwycięzko praw swoich nad przyrodą, jak na tём dolinie, nad którą góruje ocean, a przecież pochłonać jej nie zdola; jak w tym kraju, który z czasów Tacyta, *nie był już wodą a nie był jeszcze lądem*, gdzie człowiek pozbawiony drzewa,

żelaza, kamieni nawet, dał cudowne dowody najwyższej twórczości ducha, niezłomnej niczem siły woli!

Oblicza Nils te tytaniczne dzieła, któremi Holendrzy zakreślili morzu granice, i ziemię kęs po kęsie, wydzielali z jego niesytą paszczy. Powtarzając swe hasło: *Zgodą rosną narody!* Osuszają Beemster, przetaczają wody Harlemu, jeziora i morskie zatoki przemieniają w żyzne pastwiska.

Z témże hasłem na ustach walczą jak lwy przeciw Hiszpanom, a walczą póty, aż po ośmdziesięcioletnich zapasach, wypierają najeźdźców z kraju; z tém hasłem przepływają dalekie morza, zdobywają lądy, zatykają zwyciężko flagi na dalekich wybrzeżach.

„Cierpliwość, to geniusz Holendrów, mówi Nils; piętno tego geniuszu, wyciśnięte na każdej stronnicy ich dziejów, w arcydziełach ich szkoły malarzkiej, w budowie ich miast, słowem na każdej piędzi ziemi.

„Zwiedziłem te miasta holenderskie, sławne po świecie całym, zbudowane na palach, poprzecinane kanałami, zwieńczone lasem masztów. Wszystkie począwszy od Amsterdamu, wielkie, czyste, jednostajne, pełne ruchliwej a przemysłnej ludności; przebiegłem wzdłuż i wszecz te bujne łąny falujące zbożem, te żyzne łąki, po których pasą się sławne gromady bydła. Widziałem wsie wzorowo zbudowane, czyste jak szkło, z wymiecioną ulicą, wymytymi domostwy, gdzie niedopatrzyć dziury w dachu, gdzie kupka śmieci osobliwym zjawiskiem, gdzie płoty i parkany całym nieznane, bo któżby tu śmiał targnąć się na cudzą własność?

„Patrzę z poszanowaniem na ten lud holenderski, tak spokojny, tak roztropny, tak pracowity, tak uczciwy!—tu dziecko nawet nie popłąsa, nie poswawoli, bo od kolebki powtarzają mu, że życie nie jest igraszką ale trudem.

„W tém surowém państwie rozumu chciałbym dopatrzeć choćby isierkę wyobraźni! W tej mądrej Holandyi, brak mi poezyi natury i poezyi życia!”

Tę począł natury i życia, znalazł młody Szwed w starożytnej Hibernii, w Zielonym Erynie, na onój wyspie świętych, z kąd światło wiary wybiegało niegdyś za morza; w tej kolebce Bardów, z kąd melodye ostatniego z nich Moora poruszyły niedawno świat cały.

Obszerny ustęp poświęcony Irlandyi, skreślony z gorącym uczuciem, stanowi najznakomitszą część dzieła. Autor stawia nam przed oczy żywotny szkic dziejów tego celtyckiego szczepu, począwszy od wieku V, kiedy Irlandya oświecona promieniem chrześcijańskiej cywilizacyi, rozsyłała apostołów po Europie, zanurzoną jeszcze w pomroku bałwochwalskim. Wspomina pracę i trudy świętych: Patryka, Kewina i Kolumbana, powtarza poetyczne legendy krążące o nich po dziś dzień w ustach ludu. Przebiega siedmiowiekowe pasmo klęsk, bijących bezustannym na-

wałem, w ten Eryn wiecznie kwitnący i zielony, bo podsycany przez wieki ciepłą krwią dziatwy swojej.

W smutnym tym kalejdoskopie widzimy i napady Normandów na schyłku XII wieku, i krwawsze stokroć zapasy z Anglią za Plantagenetów, za Lankastrów, Tudorów a nawet za katolickich Stuartów, wznowione straszniej jeszcze za Kromwella i Wilhelma z Oranii!

Pomijamy te przerażające obrazy! Przejdźmy z autorem do O'Conella, zobaczmy jak maluje tę piękną postać.

„Wierny obraz typu irlandzkiego tak rysami oblicza, krępką i dorodną postawą, jak zaletami serca i umysłu, Daniel O'Connel rodem swoim nawet przedstawiał smutne losy Irlandyi. Pradziady jego byli księżętami, ojciec skromnym dzierżawcą wioski należącej do uniwersytetu Dublińskiego.

Pierwszym jego nauczycielem był prosty pieban wiejski. Ojciec widząc w synu nadzwyczajną zdolność do nauk, umieścił go we Francyi, najprzód w kollegium Donais, a następnie w St. Omer.

Za powrotem do kraju młody O'Connel wystąpił w zawodzie prawnika. Wymowa jego wywierała wpływ prawdziwie czarodziejski. Nie długo przecież adwokat opuścił kratki sądowe, a wystąpił jako obrońca Irlandyi, przed trybunałem świata.

I oto młodzieniec dopiero co nieznan, jeden z dziesięciorga dzieci ubogiego fermiera, dzięki potędze wymowy, a bardziej jeszcze potędze wzniosłych uczuć, opanował rzecz można Irlandyę, kierował tysiącami umysłów, pociągał tysiące serc, słowem odbierał hołdy całego ludu.

Gdy objeżdżał kraj, pasterze zstępowali z gór, zapalali szereg ognisk po drodze, dziewczęta rzuciły mu kwiaty pod stopy, matki pokazywały go dzieciom, lud garnął się tłumnie koło niego, widząc w nim jedyną otuchę.”

Dzięki niezmordowanym usiłowaniom, O'Connel wywalczył sławne prawo, zwane *emancypacją katolicką*.

Wellington, równie jak on Irlandczyk rodem, ówczesny prezes ministrów, ogłosił to prawo w r. 1829, ulegając jak mówił, sile okoliczności. Stowarzyszenie katolickie O'Connella tak było liczne, tak potężne, że rozważny minister ustąpił rad nie rad pod naciskiem, by uniknąć wojny domowej.

Na prawie owj emancypacji katolickiej Daniel O'Connell wszedł do parlamentu i rozpoczął pamiętną a długoletnią walkę. Do ostatniej chwili dzielny szermierz walczył orężem słowa; śmierć zaskoczyła go na wylomie”.

Ustępstwa na rzecz Irlandyi nie mają tej doniosłości, jaką Anglicy chcieliby im nadać wobec świata. Nowe prawa w większej części pozostały martwą literą. Wprawdzie katolicy nie wyłączeni już od urzędów publicznych; nie mają wszakże tych przywilejów, jakich używają protestanci. Duchowienstwo katolickie może dziś pełnić religijne obowiązki, lecz kościół anglikań-

ski uważany zawsze jako panujący w Irlandyi, a przeciw proteſtanci ſtanowią tylko ósmą część ogólnęj ludności. Dla tęg garſtki licząceg zaledwie 800,000 duſz iſtnieje w kraju 22 biskupſtwa, 2,400 preſbiteryj. Každy biskup anglikańſki pobiera 250,000 fr. každy paſtor do 5000, wſzystko to koſttem ubogięg Irlandyi.

Nils kreſli uroczy obraz Dublina: „Miasto ſlicznie połozone na wſchodnim brzegu wyspy, nad zatoką, którą porówny-wają tylko do neapolitańſkieg. Z jednej ſtrony zatoki rozpoſtarta łąka. Jak pyszny zielony kobierzec, z drugięg laſy ſwierkowe pokrywają ſtrome wierzchołki Wicklow. Z tych wyżyn ſkalistyeh ſpada rzeka Liffley, która dzieli Dublin na dwie połowy. Nad rzeką piętrzą ſię gmachy rządowe i pałace wielko-brytańſkich nababów, pobudowane z wytwornym ſmakiem, otoczone ogrodami i parkami; dalej srebrzą ſię piaski nadbrzeżne; dalej jeſzcze ſzumi niezmierny okiem ocean.

Główną ozdobą Dublina ſą właſnie te rozległe parki i ſkwe-ry. Czegóż one dowodzą? oto, że ziemia tu za bezcen w porówna-niu z Londynem i Edyburgiem. Ta okoliczność ſprowadza do ſtołey Irlandyi tłumy ſpanoſzonych dorobkowiczów angielskich. Gdy ci roziadają ſię pysznie w ſwych pałacach, tymczasem na ſzydłach nędznych kramikóv czytamy nazwiſka zubożałych pa-róv i książąt tęg ziemi nieſzczęſliwęg. Naddziady rządźli krajem, prowadźli waleczne klany do boju; prawnuki ſprzedają na ulicy bawełnę i cygara!

Stare miasto zbudowane na górze, zowie ſię dotąd *dzielnicą wolności*, z powodu ſzczególnyeh ſwobód, jakich używało w ſre-dnich wiekach. Było to niegdys ognisko handlu i przemysłu, gniazdo zamożnego mieſzczańſtwa. Wojny, konfiſkaty i proskrypc-ye wyludniły część grodu; ozdobne domy wsparte na gotyckich krużgankach, powaliły ſię w gruzy; opustoſzoną dzielnicę, zajął ubogi proletaryat.

Ohydny obraz przedſtawiają dziś te domy bez dachóv, te okna bez ſzyb, pozabijane ſpróchniałemi deskami; te mury prze-roſłe mehem i pleſnią, pokryte chmarą pelzająceg jaſzczurek. Długie drabiny przyparte do ſcian zaſtąpiły miejsce pogniłyeh ſchodóv. Po ulicach gódzie rzucić okiem, kupy ſmieci i błota; ſtęchłe kałuże rozſiewają woń odrażliwą. W poſród tych zwa-lisk, na tych cuchnąceg ſmietnikach roi ſię lud wybladły od głodu, półnagi, ledwie brudnym odziany łachmanem. Są to rze-mieſlnicy bez roboty, zebraki, gałganiarze i t. p. Jednęg nocy policya naliczyła oſminſet tych biedaków, powalonyeh na barłó-gu, w opuſzczoneg ruderze.

Czasem ci nieſzczęſliwi, pełnięci głodem do oſtateczności zehodzą z góry i z przeraźliwym krzykiem, oblegają pałace dolne-go miasta. Straszny to obraz! patrząc na trupa i ich cerę, na wzrok ich obłąkany, na wychudłe ręce wyciągnięte z pod łachma-na; rzekłbyś, że to jakieś widma ementarne, a nie ludzie. Na ich

widok dzieci krzyczą, kupey zamykają sklepy, bogacze drżą ze strachu za progami pysznych pałaców.

Ten biedny lud zapomniał już mowy ojców swoich, używa dziś zepsutego języka angielskiego. Piękny język staro-celtycki poszedł tu w poniewierkę; sami tylko filologowie wzięli go pod troskliwą opiekę, unosząc się nad szczególną harmonią, obrazowością i poetyczną barwą starożytniej mowy Hibernów. Przechowują oni ze czcią rękopism należący do epoki przedchrześcijańskiej.

Język przecież starożytnych Celtów przetrwał dotąd w hrabstwie Munster, a szczególnie w Connaught, gdzie Kromwel przesiedlił znakomitą część ludności. W innych prowincjach zupełnie zapomniany. Cała Irlandya umie na pamięć odwieczne legendy i ballady, lecz większość ludu powtarza je i śpiewa już tylko w języku angielskim.

Forma znikła, duch jednak przetrwał wielony w obcą mowę. Wielu pisarzy irlandzkich zasłynęło w angielskiej literaturze. Do nich to należy Jonathan Stieff, sławny humorysta, Goldschmidt ulubiony powieściopisarz, Scherydan poeta dramatyczny, Burke znakomity członek parlamentu z czasów wojny amerykańskiej i wielkiej francuzkiej rewolucyi. Z pomiędzy kobiet irlandzkich znane powszechnie: Miss Edgewoath, Lady Morgan, Mistress Hall autorka wybornego dzieła o Irlandyi, mistress Jameson, zajmująca podróżniczką. W gronie mówców dość wspomnieć Daniela O'Connela, w gronie poetów Tomasza Moora, śpiewaka Lalla-Ruck i melodyj irlandzkich.

Te sławne melodye Moora są dla nowoczesnej Irlandyi tém, czém były pieśni bardów dla starożytniej. Weszły one wstępny bojem do salonów angielskiej arystokracji; poruszają tam najzienniejsze serca i budzą mimowolne współzucie dla tego zielonego Erynu, tak rzewnie opiewanego przez poetę.

Tomasz Moor dobrze zasłużył się krajowi, to téż kraj serdeczną czcią otacza jego pamięć. Każde dziecko w Dublinie ukaże podróżnemu dom, w którym urodził się wielki poeta.

Poznawszy gruntownie Dublin, Nils najmuje *Jaunting-Car*, dorożkę irlandzką na dwóch kołach, zabytek pierwotnych czasów, i z woźnicą Mickiem puszcza się w okolicę. Mick, prawdziwy typ Irlandczyka, nie umie czytać ani pisać, ale umie na pamięć historycę poetyczną swego kraju; zna wszystkie zwałiska starożytnych zamków i opactw, powtarza chętnie dawne podania i legendy przyrosłe do ich murów; śpiewa niezliczone ballady narodowe, zwłaszcza gdy podochoci sobie czarką whisky. Zawsze wesół i swobodny jak prawdziwy Irlandczyk, filozoficznie znosi codzienne troski życia. Nienawidzi Anglików. Zmuszony mówić ich językiem, przekreca z umysłu wyrazy, miesząc je napół z celtyckimi; zna bowiem język praojców, będąc urodzony w Connaught. Niech mu kto powie, że jako dobry katolik powinien miłować bliźniego, odrzecz bez namysłu:

— To niepodobna, sam Bóg nie żąda tego; dopóki *Paddy Paddym*, musi nienawidzić *John Bulla!*

Młody Szwed przebiega z zajęciem ów zielony Eryn, zwany w pieśni Moora najpięknym kwiatem ziemi, najpiękną perłą oceanu. Przysłuchując się opowieściom Micka, zwiędza ruiny starych zamczysk, przystrojone w sploty dzikiego wina i powoju, i rumowiska dawnych opactw, tych niegdyś ognisk chrześcijańskiej cywilizacji. Z równym zajęciem, zagląda i do dworku ubogiego plebana, i do chaty wieśniaka irlandzkiego. Okropnyż to widok tej chaty; oddajmy go wiernie za autorem:

Wyobraź sobie, pisze do siostry, cztery ściany ulepione z gliny, pokryte słomą lub darniną. Nie zobaczyć tu ani podłogi, ani przepierzenia z desek, ani komina, ani okien. Do tej czarnej dziury powietrze i światło wchodzi przez drzwi otwarte. Przez też same drzwi wychodzi na zewnątrz dym z ogniska. Całym sprzętem sagan na kartofle i koszyk zastępujący miskę. Stół i szafa należą tu do sprzętów zbytkowych i świadczą już o pewnym stopniu zamożności. Wkoło ogniska powalone kamienie służą w miejsce nieznanych stołków; tu i owdzie garść słomy lub grochowin potrząśnięta po ziemi, zastępuje łożo i pościel. Jeżeli biedna rodzina ma krowę, trzyma ją w izbie razem z sobą.

W takiójto szopie bez światła, bez powietrza, gnieźdzą się ci biedacy. Dach pokryty ziemią psuje się bezustanku, deszcz wpływa do izby przez splekaną darninę, istnie jak przez rzeszoto i tworzy w niej wieczną kałużę, z której bucha zapowietrzony wyziew.

Szczęśliwy jeszcze, kto ma odzież całą, lecz i to należy do wyjątków. Dzieci połnogie, boso, okopcone dymem, tulą się zimą do ogniska; starce drżą na barfogu, skuleni pod brudnym łachmanem.

W Irlandyi kmięć hoduje bydło, orze i posięwa zagon, lecz kto inny zbiera plony z tej pracy. Krwawy zarobek biedaka starczy ledwie na opłacenie wygórowanego czynszu i niezliczonych danin. To też tysiące biednych chłopków irlandzkich nigdy w zyciu nie skosztowało mięsa, chleb nawet wielką u nich osobliwością. Tak śniadanie, jak obiad i wieczerza składają się tu wyłącznie z kartofli, przykraszonych zaledwie serwatką albo słoną wodą od śledzi. W latach nieurodzaju mięszają kartofle z trawą morską. Gotują je napół, aby utrudnić trawienie, i bez zaspokojenia głodu oszukać go przynajmniej!

Nic też dziwnego, że w takich warunkach ludność pięknego Erynu zmniejsza się z każdym rokiem. W r. 1841 liczono jeszcze 8,170,000 mieszkańców, w 1861 r. cyfra ludności zeszła do 5,670,000! Biedni Irlandczycy wyganiani głodem z domowych ognisk, biegną w świat za chlebem i pracą. Z sercem rozdartym porzucają progi domowe; żegnają starych ojców, jedyną ożywni nadzieją, że po kilku latach wrócą jeszcze na swoje śmieci.

W Kork siadają zwykle na statek, który ich niesie do Ameryki lub Australii. Autor stawia nam przed oczy rozdzierający obraz pożegnania:

„W dniu naznaczonym wychodzą z różnych stron nadciągają do portu. Jedni siedzą na ziemi nieruchomi i milczący jak glazy; drudzy wpatrują się w zielone wybrzeża, jakby chcieli wryć głęboko w pamięć ich obraz; inni wreszcie podzieleni na grupy, płaczą gorzko, żegnając rodzinę i przyjaciół.

„Moje dziecko — mówi kapłan do młodziana, nie upadaj na siłach, wytrwaj mężnie; pozostań wiernym Bogu: On ciebie nie opuści.

„Mój Patrycy — mówi do syna matka zalana łzami — włożyłam garstkę koniczyny w twoją torbę podróżną. Jest tam jedna o czterech listkach, zerwałam ją na smugu blisko chaty. Ona przyniesie ci szczęście. Niechże ci przypomina tę ziemię, gdzieś się urodził, ten święty zagon, który orałeś z ojcem, ten kościółek, gdzieśmy razem modlili się w niedzielę, to ognisko, przy którym siadywaliśmy co dnia. Oj! smutnoż tam będzie bez ciebie! Jest wprawdzie młodsza dziatwa, ... ale niechże nam kto utnie jeden palec u ręki, inne go nie zastąpią!

„Bądź spokojny Kewinie — mówi młoda kobieta, jedną ręką tuląc do piersi jasnowłose dziecko, drugą trzymając silnie rękę męża — ja się nie boję ani morza, ani cudzych krajów i obcych ludzi. Jeśli płaczę, to z żalu za siwym ojcem, za starą matką, co mnie wykarmiła i wypastowała, gdy byłem małym dzieckiem. Jak oni biedni poradzą sobie bez nas!

I oto zegar z kościelnej wieży bije dwunastą; uderza dzwon na Anioł Pański — dźwięk jego rozlega się po falach i odtętnia w sercach wychodźców, istny jęk pogrzebowego dzwonu! I wnet potem odzywa się dzwonek parowca. Serca pękają z bólu, łyż miesza się razem! Kapłan wstępuje na pomost, błogosławi biędnych tułaczy. Wszysey stojąc z odkrytą głową, króślą znak krzyża i chórem powtarzają *Amen!*

Chwila jeszcze, a ofiara spełniona; rodziny rozdzielone na wieki! Synowie płyną w świat obcy i nieznany, stare matki płaczą na brzegu.

„Znalazłem w Irlandyi, mówi Nils, czysty ideał poezyi, ideał najszlachetniejszych uczuć; ale obraz tego nieszczęśliwego ludu zaprawił mi serce goryczą!

Miałże upsalcki marzyciel znaleźć ten ideał w zimnym i samolubnym Albionie? Pospiesza do Anglii, zatrzymuje się w Liverpoolu, a następnie w stolicy. Zdzióra on świetną zasłonę, ludzącą wzrok obcych pozorem dobrobytu, szczęścia i chwały, a odzłania gangrenę toczącą łono pysznego społeczeństwa. Ukazuje ten straszny proletaryat, rozpościerający swoje łachmany u bram zwartych szczelnie pałacu West-Endu. Wprowadza nas w te zapowietrzzone *Work Housy*, nawskroś przesiąkłe zgnilizną, z których zatruty miazmat bucha na cały Londyn, połączony z dymem

tysiąca kominów, rozpościła nał grodem ów załobny całun, przez który niedopatrzyć błękitu nieba, ni słonecznych promieni.

Francya stokroć lepiej odpowiada wewnątrznemu ideałowi. Młodzian olśniony zrazu urokiem Paryża, zwie go *stolicą stolic*, jedynym w świecie miastem; tak samo jak Wiktor Hugo w świeżej odezwie do Niemców, która tak obraziła germańską psychę! — Byłby może Nils pozostał w swém złudzeniu, ale nieszczęściem zaskoczył go w Paryżu rok 1848, nadeszły okropne dni czerwcowe! Nieprzyjaciel bezładu społecznego, patrzy ze wstrętem na tę chorągiew czerwoną potarzaną w błocie uliczném, na lud wściekły z szalu, pijany krwią, w imię wolności rozpasany na gwałty, morderstwa i swawole!

„Sen mój, pisze do siostry, nie miał nigdzie znaleźć urzeczywistnienia... napróżno szukałem ideału! Słońce ma swoje płamy, każdy zakątek ziemi ma swoje niedostatki i nędze.

Myśl ta przypomniła nam śliczną powieść Kraszewskiego — owego Tomka Prawdzica, szukającego ideału prawdy, nie po różnych krajach, jak Nils, ale w świecie psychicznym.

„Z moich kilkoletnich wędrówek, kończy młody Szwed, tę przecież wy dobyłem prawdę, że najmądrzej działa człowiek, który żyje tam, gdzie mu Bóg żyć przeznaczył; szuka zadowolenia serca w uczuciach rodzinnych, spokoju ducha w pełnieniu powinności, który kocha domowe gniazdo, nie dlatego, że wielkie i piękne, lecz dlatego, że własne.

Zakończa rzecz słowami Seneki: *Nemo enim patriam, quia magna amet, sed quia sua.*

My tę sentencją przełożymy słowami Krasieckiego:

Miej ty sobie pałace, ja mój domek ciasny;
Prawda że niebogaty, szczupły, ale własny!

W papiérach tajemnych Napoleona III, znalezionych w Tuileries a ogłaszanych zeszytami, wydrukowano plan powieści, narysowany własnoręcznie przez cesarza. — Dajemy go w przekładzie jako ciekawość literacką.

Pan Benoit, uczeiw episier z ulicy *la Lane*, zwinawszy interesu handlowe, popłynął w roku 1847 do Stanów Zjednoczonych. W ciągu lat dwudziestu, przebywał w różnych miejscach na szerokiej przestrzeni, między rzekami Hudson a Missisipi.

Powraca nakoniec do kraju, w kwietniu r. 1868. Mieszkając na drugiej świata półkuli, śledził wypadki zaszłe we Francyi od roku 1848, lecz sądząc je z daleka, nie mógł wyrobić sobie właściwych pojęć o zmianach zaszłych w ziemi ojczystej. Niektórzy podróżni francuzcy mówili mu, że naród jęczy po rządem narzuconym, że za powrotem, ujrzy upadłą i dziwnie zubożałą ową Francję, którą opuścił tak kwitnącą za czasów Ludwika Filipa.

Pocziwy Benoist przybywa do Brestu parowcem transatlantyckim. Wpływa do zatoki, pełu uprzedzeń i przesądów, dręczony trwogą i żalem.

— Co znaczą owe czarne okręta, tak szpetne w porównaniu z naszymi dawnymi żaglowcami?—pyta pierwszego lepszego marynarza, którego spotkał w porcie.

— A przecież to okręta pancerne, pomysłu cesarza—odrzecze zagadniony—okute żelazem, zabezpieczone od pocisku bomb! Ta pomyslna przemiana w statkach naszych, niszczy w pewnym wzgledzie przewagę morską, jaką dotąd przyznawano Anglii.

— Może być—odparł kupiec—mnie jednak żal naszych starych okrętów, z wysokim masztem, i poetycznie rozpiętymi żaglami!

Podróżny prezentuje paszport; mówią mu, że ta formalność oddawna już zniesiona. Widzi tłumy ludu zbierające się na wybory. Dziwi się powszechnemu głosowaniu, niemniej się dziwi licznym kolejom żelaznym i elektrycznym telegrafom.

Przybywa do Paryża—patrzy zdumioném okiem na zaprowadzone upiększenia i zmiany. Kupuje rozmaite przedmioty; spostrzega, że nierównie tańsze niż były dawniej, dzięki handlowym traktatom; żelazo np. staniało o połowę.

Nie widzi ulicznych zaburzeń, tak zwyczajnych za Ludwika Filipa. Nie słyszy o więźniach ze świata dziennikarskiego, ani o wygnańcach politycznych.

Tu kończy się osnowa powieści; następuje szereg prostych notatek, które miały być wprowadzone w treść dzieła.

Pospiech w czynnościach sądowych.—Bank, zapomogi dla starców.—Dom przytułku w Vincennes.—Prawo koalicyi.—Służba wojskowa złagodzona.—Żołd powiększony.—Medale ustanowione.—Emerytura większa niż dawniej.—Rezerwy wzmacniają siły armii.—Bank dla chorych księży.—Zniesione więzienie za długi.—Rady prowincjonalne.

Taki zarys cesarskiej powieści. Wyobraźmy sobie, że Benoist uszczęśliwiony stanem jaki zastał, odjeżdża znów za morze, i wraca, już nie po dwudziestu, lecz tylko po dwóch latach, jak sprzeczny zobaczyłby obraz! — jak odmienne wstrząsłyby nim wrażenia!

Wiedeń szczyści się i słusznie jednym z najznakomitszych poetów dramatycznych czasu dzisiejszego; mówimy tu o Józefie Wejlen. Jest to niewątpliwie pierwszorzędną gwiazdą na widnokręgu literatury niemieckiej. Innym razem powiemy obszerniej o samym autorze i o poprzednich jego utworach: *Eddie*, *Drahomirze*, *Rozamundzie*; tych klejnotach poezyi, polyskujących tak czystym blaskiem na tle dzisiejszego realizmu. Teraz wspomnimy tylko ostatni jego dramat p. t. *Ilrabia Horn*, odegrany po raz pierwszy w Wiedniu 30 października r. b.

Mistrzowski ten utwór przyjęty z niesłychanym poklaskiem, ukazał geniusz poety z nową, nieznaną jeszcze stroną. Wejlen w Rozamundzie i Drabomirze krążył w czarodziejskiem kole średniowiecznych podań germańsko-słowiańskich. Wybierał bohaterów swoich z tego świata zamarłego w rzeczywistości, który miał tylko odżyć w pieśni poetów, według wyrażenia Szyllera. W Eddzie już zstąpił po raz pierwszy do epoki bliższej nas, w porządku chronologicznym do czasów wojny trzydziestoletniej; w Hornie przysunął się bardziej jeszcze do naszych czasów. Rzecz odbywa się już nie w starych Niemczech, ale we Francyi, za smutnej pamięci regencyi księcia Orleanu w początkach XVIII wieku. Co zaś czyni dramat prawdziwie żywotnym, co szczególnie podnosi psychiczną i moralną jego stronę, to zadziwiające podobieństwo owej epoki z dzisiejszą. Jeżeli bowiem pod względem obyczajów, czasy regencyi nigdy się nie powtórzą, za to pod względem gorączki giełdowej, tej strasznej epidemii grasującej dziś w świecie, a zwłaszcza w Wiedniu, obecna chwila nie ustępuje bynajmniej czasom sławnego Lawa. Autor zatem ukazując w całej okropności gangrenę, jaka toczyła społeczeństwo przed stu kilkudziesięciu laty, przyłożył niemiżej rozpalone żelazo do raka wysysającego krew żywą z piersi dzisiejszych ofiar. Gorący zapal, z jakim publiczność wiedeńska przyjęła sztukę; sąd krytyków, którzy pomimo przeważnego wpływu dotkniętych osobistości, jednomyślnie nazwali utwór arcydziełem, wszystko to świadczy, że choroba acz groźna, nie jest przecież śmiertelną.

Niektórzy upatrują w osobach wprowadzonych na scenę tożsamość z koryfuszami dzisiejszego świata finansowego a nawet politycznego w Wiedniu. Co do nas, pewni jesteśmy, że talent takiego polotu, jaki się objawia w panu Wejlen, nie zniża się do zdejmowania prostych fotografii. Autor ma na celu ideal; maluje serce ludzkie, a że słabości serca jedne w gruncie, bez względu na wieki i strefy, łatwo zatem dopatrywać podobieństwo, szczególnie, kiedy epoki tak straszliwie do siebie podobne!

Pierwszy akt odbywa się w Paryżu w salonie markizy Lusignan, występuje służący Baptiste. Pogląda oknem na tłumy ludu otaczające karetę Lawa, który wraca z posiedzenia akademii, jako nowo mianowany jej członek. Naiwnie komiczny Baptiste, wysławia czarodziejską sztukę; dziwi się, jakim sposobem Law umie zamieniać papier w złoto. Porwany ogólnym prądem zamierza całą swoją chudobę, zebraną w dwudziestoletniej pracy, poświęcić na kupno akcyj.

Nadchodzi młody malarz Gustaw Hauteville, pragnie zobaczyć sličną Blankę, przebywającą od kilku tygodni w pałacu markizy Lusignan. Blanka wychowała się z nim razem, pod opieką jego dobrej matki, w ubogim dworku wiejskim. Gustaw kocha ją i nawzajem od niej kochany. Przybył tu, aby pożegnać ją na długo, opuszcza bowiem kraj rodzinny; oburzony smutnym kierunkiem czasu, i upadkiem umysłów, postanawia udać się do Ame-

ryki, i tam na dziewiczej ziemi nowego świata wyrobić sobie stanowisko silną wolą a żelazną pracą. Za powrotem poślubi drogą Blankę. Następuje tkliwe pożegnanie: kochankowie rozłączają się pewni wzajemnej wiary.

Ledwie że Hauteville odszedł, wchodzi Michał Bourdon, generałny sekretarz Lawa, zimny, blade, wyżółkły jak pargamin: uosobiona zemsta i rachuba. Chce się widzieć z markizą Lusignan, która pojawia się niebawem.

Bourdon w imieniu Lawa zaprasza markizę, aby uświetniła dziś obecnością swoją ucztę, którą intendent generałny wyprawia z powodu przyjęcia swego do akademii. Kwiat arystokracji francuzkiej będzie na owęj uczcie. Sam książę rejent przyrzekł obecność swoją. Onto pragnie, żeby markiza zrzuciła w tym dniu wdowie szaty, i ukazała się znów wielkiemu światu. Markiza odrzuca ze wstrętem niewczesne zaprosiny.

— Ja! miałabym—woła z oburzeniem—przestąpić progi tego nikczemnego oszusta? Nie! Moja noga nigdy tam nie postanie!

— Nigdy! odrzecz szycerco Bourdon—zaraz to zobaczymy. Posłuchaj pani, opowiem ciekawą historią. Była niegdyś młoda, uboga dziewczyna, która musiała, rozumiesz pani *musiała* przyjąć rękę starego markiza. Jakże się wywdzięczyła za dobrodziejstwo? Oto przegrała na giełdzie cały jego majątek! Starzec w rozpacz odebrał sobie życie. Powód samobójstwa niewiadomy światu. Nikt go nie zna prócz mnie i pani. A co markizo, wszak będziesz dziś u Lawa?

Markiza przerażona, spojrzy nagle na pierścień złoty, połyskujący na jej palcu, oczy jej zajaśniały radością.

Widzi to Bourdon. Nie koniec jeszcze historii—rzecz z piekielnym uśmiechem. Taż sama pani zaraz po śmierci męża, trzy miesiące temu, napisała list do dawnego kochanka, wzywając go, aby natychmiast przybył, gdyż pragnie połączyć się z nim, i ukazać mu córkę, której dotąd nie widział.

Każde słowo Bourdona rani jakby sztyletem pierś markizy. Mięsza się, blednieje, drży jak liść, szarpana gniewem i rozpaczą.

— A cóż—pyta spokojnie Bourdon—wszak pani przyjedziesz dziś do Lawa?

— Szatanie!—zawoła markiza—wszak ty sam wpłatałeś mnie w przeklętą grę giełdową! ty sam sprowadziłeś okropną katastrofę!

Bourdon przypomina, że markiza pozostała mu dłużną 30,000 liwrów. Pani będziesz u Lawa! powtarza nakazującym głosem i wychodzi z pokoju.

Ledwie odszedł, wpada hrabia Horn.

Markiza czuje się oswobodzoną. Otucha wstępuje w jej serce.

Horn mówi ze zgrozą o tym szalonym wirze, w jakim dziś cały Paryż pogrążony. Tylko co przybył do stolicy po długim oddaleniu. Jakaż tu straszna zmiana? Idąc tu, dziwne jakieś

niezrozumiałe słowa potrącały mu ucho. Na ulicy nie słyszał nic oprócz wyrazów: *bank, akcje, kompania, Mississipi, hausse baisse* i t. p. Nie dziwi go to, że motłoch rzucił się w ten odmet, ale co go oburza, to że i cała arystokracja francuzka, że niezłomne filary starożytnych domów, przykute dziś do tryumfalnego wozu Lawa! Pragnie uciec czemprowadź z tego wiru namiętnej cheiwości, nieprawego zysku!

W Normandyi pozostał mu jeszcze zamek rodzinny. Tam schroni się z markizą; tam ją poślubi; tam będą żyć spokojnie, zdaleka od tej duszącej atmosfery paryżkiej.

Markiza oznajmia mu, że dziś jeszcze, zagnalona koniecznością, musi być na balu u Lawa.

— Nie! ty nie będziesz tam! woła Horn z najwyższym oburzeniem.

W tej chwili otrzymuje list wzywający go również na wieczór do Lawa. Tam dowie się ważnych rzeczy dotyczących zamku w Normandyi.

Oboje ze wstrętem postanawiają zejść się na owym balu. Jutro opuszczą zapowietrzony Paryż.

Drugi akt rozpoczyna się w gabinecie Lawa. Przybywa minister Dubois. Odbiera Lawowi cały fundusz zakładowy banku, w ilości 12,000,000 franków, a nadto otrzymuje dla siebie pół miliona. Za to wręcza intendentowi jeneralnemu blankiet podpisany przez rejenta. Jest to nominacja na gubernatora Mississipi. Law wpisze nazwisko osoby, którą uzna za odpowiednią.

Dekoracja rozuwa się i przedstawia salę balową, przybraną z niesłychanym przepychem, oświeconą tysiącem jarzących świateł. Markiza Lusignan odgrywa rolę gospodyni balu, drżąca od trwogi, z sercem przepelnionem goryczą. Bourdon istny szatan, raz po raz przybliża się do niej i szyderczém słowem rzuca pocisk w jej serce.

Nadchodzi książę Orleanu, wesoly, cyniczny, wykwintny jak zazwyczaj. Przystępuje do markizy, mówi z przymileniem. Ona odpycha go z zimną pogardą.

Goście napływają coraz tłumniej, świetne grupy krążą po sali. Na boku przy zielonym stole, potomkowie najpierwszych rodzin, oddani z szafem grze hazardowej, rzucają paczkami akcyje. Tymczasem wieści giełdowe istne race, przebiegają z ust do ust. Akcyje, któremi pomiatano przed chwilą rosną do bajecznej wartości. Z drugiej strony sali, nie młoda lecz strojna pretensjonalnie hrabina jakaś przystępuje do Lawa, błaga aby jej wskazał akcyje, które ma kupić.

— *Wnuki* pani hrabino, rzecze złośliwie znudzony Law, te najważniejsze dla pani.

Jedne z akcyj nosiły nazwę *Wnuków*.

Hrabina cofa się dotknięta do żywego.

Książę Saint-Simon (autor sławnych pamiętników) przedstawiciel zdrowej części społeczeństwa, patrzy z oburzeniem na ten odmet. Tymczasem książę Orleanu wpada na dziwaczny pomysł: rozkazuje, aby każdy z obecnych wypowiedział otwarcie co myśli. Wiedzą wszyscy, że w takich razach nie potrzeba maskować się w obec cynicznego reagenta. Występuje pierwszy książę St. Simon i w jaskrawych barwach maluje chwilę obecną, przedstawia upadek szlachty, szaloną pogoń za złotem, brak zamiłowania w uczciwej pracy.

— Ależ moiści książę!— woła rejent— tożto kazanie wielkopiątkowe a nie salonowa pogadanka! Teraz ja wam powiem co myśle! Dziś w nocy zająrałem głęboko w kielich szampana, a że *in vino veritas*, mówi przysłowie, otóż stanęła mi w oczy filozofia życia w całej prawdzie. Ziemia ta nie jest czém inném, tylko szpitalem warjatów!—my wszyscy obłąkani, a im bardziej szalejem, im pustszy wir porywa nas w swe koło, im raźniej rzuca się w szal uciech i rozkoszy, tém lepiej spełniamy zadanie!

— Stare ideały runęły bez powrotu — rzecze Law do księcia St. Simon— świat potrzebuje nowych. Otóż więc z bogaceniem narodów, jest dziś niewątpliwie najzacniejszém zadaniem dla samej nawet szlachty.

Młodzi panice przyklaskują hurmem Lawowi.

Na to wpada Horn w gwałtowném poruszeniu. Błady, drżący rzuca wzrokiem pogardy po wynarodowionych synach możnych rodzin franenzkich.

— Także to — woła — spadliście już nisko, że wam ten awanturnik śmie zachwalać w oczy swe szalbierstwa giełdowe, jako chlubne pole popisu? Dla nas świecą dwie tylko gwiazdy: jedną honor, drugą ojczyzna!

Słowa te jak grom rozległy się po sali. Książę rejent zaśmiał się na głos; St. Simon przyklasnął z zapalem; Law zbładł jak trup. Część szlachty rzuca się w gwałtowném poruszeniu; druga część stoi zawstydzona, jakby jej stopy wrosły w ziemię.

Bourdon przystępuje do Lawa:

— Mianuj go pan teraz gubernatorem Missisipi — poszeplnie mu na ucho.

Law stosownie do rady wpisuje na blankiecie nazwisko Horna. Hrabia z oburzeniem odtrąca nominacyę. Na tém zakończy się akt drugi.

Trzeci akt w domu Horna: Markiza Lusignan rozmawia z nim o córce. Ze względu na tę córkę błaga, aby hamował gniew, i nie ścigał na siebie nienawiści potężnych przeciwników. Horn przyrzeka zadosyć uczynić jej woli; mimo to zamierza wyzwać Lawa na pojedynek.

Przychodzi Law. Przeprasza Horna, że śmiał tak samowolnie rozporządzać jego osobą; jednak obstaje przy tém, aby hrabia przyjął posadę gubernatora: w przeciwnym bowiem razie kredyt towarzystwa zachwiany w dotkliwy sposób. Cały Paryż więc

już o tej nominacji. Przytém zřeczny finansista, w ponętnych barwach przedstawia hrabiemu wielkie zadanie, jakie może spełnić, będąc gubernatorem bogatęj kolonii, większęj co do rozmiaru niżli cała Francya. Po odejściu intendenta, Horn wależy sam z sobą złamany w postanowieniu.

Na to nadchodzi malarz Hauteville. Opowiada, że i on wpiął się do owęj amerykańskięj wyprawy, lecz cofa się ze wstrętem; w towarzyszach bowiem zamiast ludzi energicznych, szlachetnych, gotowych do pracy, jakich spodziewał się znaleźć, poznał tylko same wyrzutki społeczeństwa: rozbójników, szulerów, galeerników, słowem spędzony razem najniżejemijszy motloch, nad którym oddział wojska musi czuwać z nabitą bronią.

Horn zachwiany poprzednio przez Lawa, dziękuje Hautevillovi za takie ostrzeżenie. Dowiaduje się, że młody malarz kocha córkę jego Blankę. W tém ostrzeżeniu widzi wyraźny palec Opatrzności.

Gdy odszedł Hauteville, przybywa nagle Bourdon. Wyciąga z kieszeni nominację na gubernatora Missisipi. Podaje ją hrabiemu do podpisu.

— Odemnie rzece — jako od dyrektora towarzystwa będziesz pan odbierał rozkazy.

Horn uniesiony gniewem rozdziera dyplom, rzuca go pod nogi przybyłemu: Bourdon z założonemi w tył rękoma okropnym wybuchem śmiechem.

— Nie przyjmujesz pan nominacji! — rzece zimno — zobaczymy to zaraz.

W mgnieniu oka zmienia Bourdon postawę. Stawa przed Hornem już nie jako agent Lawa, ale jako uosobiona zemsta i nienawiść. Z piekielną złością bluzga w oczy hrabiemu gradem wyrzutów, które tém silnięj godzą, że po części uzasadnione. Ojciec Bourdona był poddanym Hornów. Urzędnicy starego Horna przygotowali go o śmierć. On sam dzieckiem, przypuszczony do zabaw zuchwałęgo panicza, połykał co dzień srogie upokorzenia i obelgi. Kiedy panicz cwałował konno po parku, on jak pies musiał biegnąć na równi z koniem, a jeśli temu brakło mu czasem w piersi, jak pies odbierał chłostę. Długo tak było, aż dnia jednego przebrała się miara i uciekł od harapu. Zemsta była mu odtąd hasłem, jedynym celem życia. Postanowił bądź co bądź z bogacić się, zdobyć potęgę jaką daje złoto i zimny rozum. Krok za krokiem szedł cierpliwie do mety. Kiedy młody hrabia obarczony długami, strwoniwszy ojcowiznę, opuścił na długę Francję, on pomału poskupywał od wierzycieli wszystkie jego rewersa; co więcej wydobyl mandat aresztu, wymierzony przeciw zbiegowi.

Z zimnem, pogardliwem szyderstwem rzuca Bourdon palące słowa. Rozkosznie pastwi się nad ofiarą, jak pajak nad upłatanyim w sieci owadem. Hrabia miota się, istny lew zrany; drży szarpany gniewem i trwogą; tacza się rozpaczliwie po pokoju, zaciska pięści, oczy stają mu słupem! Ale nie dosyć jeszcze. Bour-

don na domiar okrucieństwa szydzi z miłości hrabiego, obrzuca markizę powodzią nikiemnych potwarzy. Horn doprowadzony do wściekłości, porywa szpadę, zatapia ją w piersi nieprzyjaciela. Tu kończy się akt trzeci.

Przed rozpoczęciem aktu następnego, wyrok śmierci zapadł już na Horna. Czwarty akt odbywa się w posłuchalnej sali księcia Orleanu. Przybywają do rejenta trzy deputacje: jedna od szlachty z prośbą o ulaskawienie skazanego; druga od finansistów, pod przewodnictwem samego Lawa, żąda spieszego dopełnienia wyroku, inaczej upada kredyt, zachwiane bezpieczeństwo towarzysza; trzecia od ludu żąda niemniej wymiaru sprawiedliwości.

Rejent przyjmuje razem wszystkie trzy deputacje, aby nadać sprawie zabawniejszy charakter. Nie czyni zadosyć niczyim prośbom, zachowuje w tajemnicy ostateczne postanowienie. W końcu jednak pociesza markizę Lusignan, przyrzekając półsłówkiem łaskę dla Horna.

Piąty akt odbywa się w obszernym dziedzińcu, pomiędzy murami więzienia. Horn występuje otoczony orszakami szlachty. Gotów umrzeć; jedyne tylko zostało mu jeszcze pragnienie: chciałby patrzeć własnymi oczyma na upadek oszustwa giełdowego.

Na ulicy tymczasem powstaje gwałtowny zgiewk; wrzawa wzmaga się coraz bardziej. Akcje nagle spadły. Bursę zamknięto; znikły nieprzeliczone skarby, istne fata morgana. Rozpacz ogarnia całe miasto. Wyzyskiwany lud miota najstraszniejsze klątwy. Law wpada na dziedziniec, za nim pędzi rozjuszone społeczeństwo, gotowe zasypać kamieniami sprawcę ogólnego nieszczęścia.

Horn przemawia do ludu, powściąga jego zapęd. Wczorajszy król finansistów, koryfeusz bursy, dziś zohydzony bankrut, Law, wymyka się przez tłumy, które na widok jego cofają się ze zgrozą.

Przybywa markiza Lusignan z Blanką i malarzem Hautevillem, aby pozornie pożegnać skazanego. Ufa przecież obietnicy rejenta, wierzy w ulaskawienie.

Pojawia się nakoniec sam rejent, ofiaruje łaskę hrabiemu z warunkiem, że podda się pod wyrok, i przeprosi z pokorą sąd, za gwałt popełniony przeciwko społeczeństwu.

Horn odrzuca łaskę rejenta. Powoduje nim nie pycha, ale raczej sumienne przekonanie, że przelaną krew powinien opłacić krwią własną. Wchodzi na rusztowanie spokojny; widział bowiem w ostatniej chwili sprawiedliwość spełnioną na oszustach giełdowych.
